TĘCZYŃSCY.

TĘCZYŃSCY

DRAMAT HISTORYCZNY

W PIĘCIU AKTACH

PROZĄ.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Serce — przepaść. —

* * *

WILNO.

NAKŁAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA SZKÓŁ BIAŁ. NAUK. OKRĘGU.

1844.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu, exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.

Wilno, 26 Paździérnika 1843 roku.

Sprawujący obowiązek Cenzora,

J. Fok.

OSOBY DRAMATU.

DOROTA Z TĘCZYNA.
ŻEGOTA TOPORCZYK Z TĘCZYNA.
WOJSŁAW TOPORCZYK Z TĘCZYNA.
OTTO TOPORCZYK Z RABSZTYNA.
NAWOJ TOPORCZYK.
JANKO GRZEBIEŁ.
PIOTR ZABÓJ.
PANI JANOWA, STARA DOZORCZYNI.
JADWIGA JÉJ CÓRKA.
BARTOSZ, STARY SŁUGA.
GIERMEK.
SŁUDZY.
DWOCH PODROŻNYCH.
ŁUDZIE ŻEGOTY.

Scena w 1 Akcie na Zamku w Przegini, toż w II i III, w IV w Krakowie, w V na gościńcu u wieży zwanéj Masława.

A K T I.

Scena piérwsza.

Teatr wystawia podwórzec Zamku w Przegini.—W prost kilku wschodów wiedzie wewnątrz gankiem na Zamek. Na prawo furta w murze okolnym, wysokim. Na lewo wielka murowana budowa z gankami, okna długie wązkie, dach spiczasty, wysoki, na chorągiewkach znak herbu Topor; toż nad drzwiami zamkowemi i nad furtą. Kilka starych drzew około muru przy furcie.

DOROTA (*na ganku.*)

Miły Boże, jakże też nudno na tém starém Zamczysku pradziadów moich—Saméj jednéj, zawsze saméj! Od dzieciństwa ska-

zanéj na rozmyślanie swojego sieroctwa, i kosztowanie wszystkich jego goryczy.— O! ciężko-bo też być sierotą, kamieniem na sercu samotność sieroca.—Nikogo, dokoła nikogo, prócz staréj mojéj Pani Janowéj, prócz Jadwisi, prócz....

(*obraca się i podnosi głowę*)
po chwili:

Prócz Nawoja — Gdyby nie oni, gdyby nie on—gdyby nie on, to tęskno, powolnie wybijające na sercu godziny, zabiłyby mnie dawno. Z nim, z niémi, trochę zapominam, żem sierota. — Dwoje sierot są sobie krewni i zastępują dla siebie, czego im braknie na świecie. —

Ośmnaście lat przeżyłam na moim Zamku, a w tych latach, wszystkie dni, były jak bracia rodzeni jednakie, wszystkie godziny jak siostry rodzone, podobne do siebie—Jedne twarze, jedne mury, jedna samotność ciągle mnie otaczała—A tak blizko stolica, a tak nie daleko cały boży świat pełen życia, ruchu, wesołości.—

Tak, ale białogłowie nie polecieć na

świat, dla niéj zacisze domowe w młodości, dóm na dojrzałe lata i dóm na starość, zawsze dóm tylko — lub klasztor— Nawet dwór królewski dla białychgłów, to tylko strojna cela klasztoru, lub piérwszy i ludniejszy dóm. Jeszczeż kiedy w domu, jest kochać kogo, jest z kim żyć, kiedy jest stara matka, ukochany Pan, najdroższe dziécie — ale kiedy, jak też nié ma nic —nic —

(*po chwili*).

Jakto nic? jest Nawój — a ja kocham Nawoja— O! i jakże go nié mam kochać! Gdyby nie on, dawnobym w téj kamiennéj trumnie umarła.— Zdaje mi się nawet, że gdyby się przyszło rozdzielić....

Ktoż nas rozdzielić może, potrafi i zechce? Kto?

(*myśli*).

Mam prawda panów stryjów kędyś, co się o mnie niekiedy dowiadują i obiecują swoję bytność tutaj od dawna—Opiekunowie moi — A! kobiéta zawsze pod opieką cudzą i pod cudzą wolą.—Ale niech przyj-

dą, powiem im, że kocham Nawoja, i że wezmnę go za męża — Nawój szlachcic, i chodził w bój z naszą chorągwią, pod naszym znakiem, należy niejako do naszego rodu, a choć nié ma szerokich włości i głośnego imienia, to cóż?? Wszakże i imie i włości się nabywają. — On je nabędzie. —

Wszakże bił się już nieraz mężnie, nieraz krwią swoją tarcz krwawą odświeżył. — Ja go kocham, on mój — I będzie moim — i moim być musi. —

A jeśli oni się sprzeciwią? — To ja się im sprzeciwię. — Ja tak chcę, ja tak chcę.

Scena druga.

P. JANOWA, JADWISIA, DOROTA.

P. Janowa

(*wpadając przez furtę z prawéj strony, za nią Jadwisia*).

Nowiny, nowiny, wielkie nowiny!

DOROTA
(*odwracając się ku niéj*).

Cóż tam takiego? Bociany zapewne pobiły się w ogrodzie, sznur się zerwał w głębokiéj studni, lub cegła upadła z blanków?

P. JANOWA.

O! ho! o! ho! Coś daleko ważniejszego.

DOROTA.

Więc zapewne który z dworzan.

P. JANOWA.

Nie o dworzanach tu mowa.

DOROTA.

To coś z Krakowa, od dworu? — Zapewne nowina, co nas tyle obchodzi, ile Benedyktynów na Łysej górze.

P. JANOWA.

Właśnie nowina, co nas i Panią naszą najbardziéj obchodzi. — Nowina ważna, wielka i pełna znaczenia.

DOROTA.

No—to mówże ją prędzéj!

P. JANOWA.

Nowina, umyślnym z Krakowa przybyła, giermek P. Wojsława nadbiegł z nią przed chwilą.

DOROTA.

Ale mówże ją.

P. JANOWA (*daléj ciesząc się.*)

Giermek na siwym koniu, w krasnéj katance, w żelaznéj.

DOROTA.

Myśliszże, że i ja mam żelazną cierpliwość?

P. JANOWA.

Przybył do Nawoja, jako do tutejszego Dowodzcy, jako do....

DOROTA.

Jako do kogo chcesz—ale mówże z czém przybył? Jadwisiu, może ty się prędzéj na tę nowinę zdobędziesz?

Jadwiga (*potrząsa głową.*)

Ja nic nie wiém.

P. Janowa.

Kazano oporządzać komnaty w wielkiéj baszcie. —

Dorota.

A! na Boga — Dla kogoż? —

P. Janowa (*trochę niecierpliwie.*)

Jużciż nie dla Chana tatarskiego miłościwa Pani.

Dorota.

Dla Króla JMci.

P. Janowa (*kiwa głową.*)

Dla Stryjów, a Opiekunów twoich miłościwa Pani, P.P. Wojsława i Żegoty, którzy tu za chwilę przybyć mają.

Dorota.

Po co? ośmnaście lat nie widzieli sieroty, mogli byli zapomnieć już o niéj zupełnie! —

P. Janowa.

A! nie mówcie tego, miłościwa Pani, na Boga żywego! srogie to wyrazy — a oni właśnie przybywają, aby się o waszym łosie naradzić, i was jako już czas po temu, przystojnie postanowić.

Dorota.

Dzięki im za to! obejdę się bez poźnéj opieki! Nie znali mnie w dzieciństwie, zapomnieli o mnie lat tyle. —

P. Janowa.

Alboż to oni mało o czém myślić mają! Wiadomo mężczyzni, głowy rodu, głowy domu, tu idź na wojnę, tu sprawuj wojsko, tu gospodaruj, idź do boku Króla, za granicę z poselstwy — gdzie tu czas — miłościwa Pani.

Dorota.

Gdzie tu czas pamiętać o sierocie? Słusznie mówisz Pani Janowa, dopiéro gdy sierota dorośnie, a można jéj majętnością

frymarczyć, to i czas przypomnieć, że gdzieś żyje na starém Zamczysku?

P. Janowa.

Pst! pst! na Boga żywego! Jeszcze kto posłyszy, doniesie! To powiedzą że to — Boże odpuść — ja tych myśli w głowę miłościwéj Pani nakładłam! Zmiłujcie się — opamiętajcie! Już bo was jakiś żal oślepił, a miasto wdzięczności, wyrywacie się z narzekaniem.

Dorota.

Wdzięczności! Czy nie chcielibyście wmówić mi, żem powinna im być wdzięczną? Za co — za zapewnie nie! za.... O! Pani Janowa, gdybym nie była zawsze tak sama jedna, zawsze sama ze swojemi myślami się bijąc, możebym nie miała czasu pojąć, com winna komu. Ale kilkanaście lat tocząc się po głowie myśli moje, wyryły koleje, z których im teraz wyść trudno! Wdzięczność! jeśli komu, winnam wam, moja poczciwa, dobra piastunko, boś

ty mi była cieniem matki, ramieniem ojca — Tobie Jadwisiu, coś mi była siostrą, i.....

P. Janowa (*podchwytuje.*)

I — Stryjom, co czuwali z daleka

Dorota.

Dajcie mi z niémi pokój— Przez nich uczułam sieroctwo—Dla czegoż żadna z ich żon, swojéj krwi nie chciała do rodzinnéj piersi przycisnąć? Dla czego mnie zostawili na bezludziu, u kądzieli, w téj murowanéj studni, za którą Bożego świata nie widać, ptaszego głosu nie słychać, zieloności.—

P. Janowa.

Ja, bo, z pozwoleniem miłościwéj Pani, nigdy nie rozumiałam i teraz nie lepiéj rozumiem. A czegoż potrzeba więcéj białejgłowie, kiedy nie spokoju, kądzieli, ciszy. —

Dorota.

Białogłowie takiéj, jak ty.

P. Janowa.

Z pozwoleniem miłościwéj Pani, jeśli kędy, to między naszemi białogłowy równość, tak przędzie i karmi dziécię Królowa Jejmość, jak prosta szlachcianka, a obu na świat poglądać, wolno tylko przez ciasne okno — a obie zasłaniają się od oczu obcych i.....

Dorota (*niecierpliwie.*)

Nie mówmy o tém Pani Janowo! długoby o tém mówić. Jam jeszcze tak młoda, że wy moich słów za ptaszy świergot nie macie, a ja czuję — Nie mówmy o tém. —

P. Janowa.

Tém lepiéj, gotujmy się na przybycie Stryjów.

Dorota.

Gotujcie się, kiedy chcecie —

P. Janowa

(*daje skinienie córce, która stała nie daleko w milczeniu.*)

Chodźmy Jadwisiu — pomożesz mi w kuchni. —

Scena trzecia.

DOROTA

(*sama ogląda się za odchodzącemi w lewo, zbiega z ganku na scenę i zamyśla się.*)

Więc przybędą! dziś jeszcze przyjadą panowie Stryjowie, Opiekunowie moi. Piérwszy, piérwszy raz w ośmnaście lat przypomnieli sobie, że żyję, gdy jak koń co dorosł lat, na targ wyprowadzona być mogę! Nie sercu ich byłam potrzebna, ale dumie, interessowi. —

O! jeśliście chcieli mieć ze mnie niewolnicę posłuszną, na cożeście zostawili mnie na tyle lat z myślami memi, samą z sobą — na coście tyle lat pozwolili się zbiérać w piersi uczuciom—! Trzeba było kołysać mnie jak dziécię, piosnkami bawić, rozrywać, abym się nie poznała na sobie, na was, na przyszłości — abym zawsze posłuszna wam była jak baranek.

Zapoźno Stryjowie, zapoźno, za daleko

poszły płomienie, zadaleko poleciały myśli, nie poradzi na to, ani groźba, ani prośba, ani nawet zimne rozumowanie mnicha, o przeznaczeniu niewiasty, o obowiązkach posłuszeństwa, o zasłudze ofiary.— Wszak dosyć byłam ofiarą. —Nie chcę być niczyją ofiarą, nie chcę słuchać nikogo— Dla czegobym miała urodzić się na niewolnicę stryjowi?

Scena czwarta.

Słychać głośne gadanie za sceną.— Furtą z prawéj strony, wchodzi Nawój. Nawój lat trzydzieści kilka, postawa piękna, męzka, strój rycerski, broda i wąsy czarne, miecz u boku, pas, lekka czapeczka na głowie.

Dorota (*do siebie.*)

To on — to on! W sam czas — powiém mu wszystko, powiém otwarcie.—Pomoże mi przeciw nim.

Nawój (*do ludzi za fórtą.*)

Idźcie na basztę, prędzéj, klucze u burgrabiego—oporządzić izby, rozpalić ognie— (*postrzega Dorotę*).

Wiécie Miłościwa Pani o posle!

Dorota.

Jakże nie, i P. Janowa przybiegła mi tu o tém oznajmić cała pomięszana—I jest czego — Raz w kilkanaście lat zdobyli się przecię na odwiedziny!

Nawój.

Znać wprzód nie widzieli potrzeby.—

Dorota.

Coż za potrzeba była, odwiedzać dziécię braterskie, sierotę w piéluchach.—Nie dośćże było rządzić włościami i pobiérać dochody?

Nawój.

Nie mówcie tak—Mnie to za nich boli.—

Dorota.

Bądźcie pewni, że ichby to nie zabolało! Oni mają serca kamienne.

Nawój.

Nie mogą mieć inszych — Mężom takim, jak oni, nié ma czasu do kochania, do kobiécych czułości.

Dorota.

I wy ich bronicie? —

Nawój.

Ja ich pojmuję i patrzę na nich ze czcią i uszanowaniem — Są to słupy, na których ramionach wśpiera się dom wasz, ojczyzna, królestwo, sprawy krajowe. — Oni są nie ugięci jak słupy.—

Dorota.

Dobrzeście ich porównali, Nawoju, ale ja nie mogę kochać słupów. — Choćby one trzymały gmach mogący mi upaść na głowę. Ja nie mogę ich kochać, być im wdzięczną — oni nie pamiętali o sierocie, sierota wzięła do serca tych, co jéj osłodzili sieroctwo.

Nawój.

To zastępcy waszego ojca — waszéj matki.—

DOROTA.

Nie bluznij! Zastępcy ojca — matki. Ktoż może ojca — kto w świecie matkę zastąpi? O! nikt! o! nikt! o! nigdy. Jeszcześ ojca! ale matkę? — Słuchajcie Nawoju, jeśli kto mi zastąpił wszystko, czego mi brakowało na świecie, to wy, coście ze mną przeżyli tyle lat, coście przyrośli do mojego serca — To ty!

NAWÓJ (*pomieszany.*)

Ja?

DOROTA.

Tak, ty! Ja przywykłam widzieć w tobie wszystko, czego mi brakło — Ojca, matkę, brata. —

NAWÓJ.

Ja — jestem tylko starszym sługą.—

DOROTA.

Nie mów tego! nie poniżaj się —! O! gdyby nie ty, dawnobym skamieniała, wśród tych do koła otaczających mnie kamieni.—

Tyś mi mówił o świecie i świat dał poznać, mówił o ludziach, o bojach twoich, o obcych krajach, które widziałeś, a w dziecinnéj mojéj głowie, twoje myśli z własnemi myślami, poplątały się jak chmiel z liśćmi drzewa, które obwija.—Wszystkie uczucia moje tyś rozwinął, tyś rozjaśnił. Nawoju —ja ciebie kocham, ja się z tobą nigdy nie rozstanę! Tyś mój, jam twoja— I Stryjowie, i nikt nas nie rozdzieli! — Ja ciebie kocham miłością —

Nawój

(cofa się osłupiały — chwila milczenia — Dorota patrzy na niego).

Ty szydzisz ze mnie, miłościwa Pani—

Dorota.

Ja! ja z ciebie szydzić! A! Nawoju! czyż ty pierwszy raz dowiedziałeś się o tém, co ci mówię usty, a com tysiąc razy powiedziała ci oczyma.

Nawój.

To być nie może.—

DOROTA.

Tak jest, a przyszłość będzie dla nas dwojga.

NAWÓJ.

Na Boga, przestraszacie mnie! pomyślcie: Wy i ja! Ja sługa, ja ubogi szlachcic, wy—

DOROTA.

Ja—sierota—ja najuboższa—bo sierota—

NAWÓJ.

Całego mojego męztwa potrzeba na odparcie tego, coście mi powiedzieli! Jam was czcił jak Anioła Bożego, jak Królowę— ale nigdy myśl moja nie śmiała się podnieść ku wam, do waszego serca — Ja tak nizko. —

DOROTA.

Podnieścież się sercem i myślą — a staniecie wyżéj wszystkich ich, tak jak dla mnie stoicie. —

NAWÓJ.

Na Boga, nie wwodźcie mnie na pokuszenie, większém nad wszelkie ziemskie

szczęście!! Zostawcie mnie, gdzie byłem przed chwilą na mojém stanowisku wiernego sługi! Drżę gdy pomyślę, co wasze przywiązanie ściągnie na mnie.

Dorota.

Nie wiedziałam że umiecie się lękać!

Nawój.

Śmierci—męki—niczego się nie lękam, ale sromoty, ale spodlenia. Co powiedzą Opiekunowie twoi, co ludzie—Żem wydźwigniony z błota, z nędzy, ukąsił rękę, co mnie rozgrzała, żem zaufania nadużył, żem zostawiony na straży skarbu, skarb najdroższy dla siebie wykradł! I napróżno bym się usprawiedliwiał. Jestże możném usprawiedliwienie—jestże ono podobném? Będęż śmiał usta otworzyć! O! biada mi! biada mi!—Powiedzcie, żeście tylko szydzili z Nawoja, co za całe mienie na świecie, ma poczciwość swoję i szablę.

Dorota.

Ja nigdy nie szydzę—powtarzam, ko-

cham cię miłością, a miłość moja tém większa, że nie podzielona. Nie mam na świecie nikogo, nikogo prócz ciebie, jednego ciebie kocham, w tobie wszystkich widzę, mam wszystko.

NAWÓJ.

Chcecie bym utracił rozum! Na Boga— nie kuście mnie.— Ja oszaleję!

DOROTA.

Oto ręka moja, słowo moje. Jam twoja—a jeśli kto się sercu i woli mojéj sprzeciwi— biada jemu— bo mnie nie zwycięży! Ośmnaście lat martwego posłuszeństwa, buchnie w jednéj chwili oporu. — Jam twoja— tyś mój Nawoju. Dorota z Przegini, powtarza ci to i dotrzyma—

(*wychodzi.*)

Scena piąta.

NAWÓJ (*sam*).

Chwila nieruchomego osłupienia.

Nie wierzę uszom moim — Sen to, czy straszna jawa! Czy piorun upadł koło mnie.

Gdyby aniołowie zstąpili z nieba, nie wiem z jaką wieścią, mniéjbym osłupiał.—Prawdaż to? To niepojęte szczęście, jestże podobném, jestże pojętém. Nie, nie! To być nie może!! — Ona kochać! mnie! Najwyższe szczęście o jakiem nie śmiałem marzyć, staje mi się, największém nieszczęściem? Jedno jéj słowo uczyniło mnie, zdrajcą i niewdzięcznikiem. Nawój, którego Toporczykowie przyjęli do swego znaku, któremu dali chleb, dali poczciwy urząd, któremu powierzyli straż sieroty.—Nawoj ich najstraszniéj zawiodł, zdradził, okradł. Spodlił się!—Okropnie!

To być nie może! Jam tego nie uczynił! Jam tego nie pomyślał nigdy! Ja drżę na tę myśl samą. — A jednak jam winien! —Jam ją kochał, jak anielskiéj piękności dziécię, jak biédną, najbiédniejszą z sierot —Jam ją pocieszał—Musiało być coś w mojem wejrzeniu, w méj mowie, w obejściu, niepoczciwego, nieczystego. —Jam sam winien. O! i na mnie spadnie też kara, tylko, tylko na

mnie, bo dziécię to nie wie co czyni, co mówi.

(Chodzi po podworcu).

Ktoby mi był powiedział przed chwilą, że taki raz uderzy we mnie? Srogi cios! A szatan pokazuje mi zdaleka wielkie, królewskie, purpurowe szczęście, jakby mnie niém kusił! precz myśli szatańska!! precz! nic nie chcę! Nawój umrze poczciwym, wiernym sługą i wiernym stróżem.

Na cóż ona mi to powiedziała! Zapomnijmy, o tém, zapomnijmy! ucieknę.

(Wstrząsa się).

Zapomnę!!

(Woła na ludzi).

Hej! służba do mnie! Piotrze! Janie! Do mnie!

(chodzi żywo trąc czoło).

Scena szósta.

Fórtą z prawéj strony wchodzą Wojsław i Żegota; starcy oba, oba w czarnych długich sukniach z kapturami, na głowie czapeczki żelazne, u pasa miecze długie, obówie kolorowe, rękawice żółte, Wojsław ma brodę czarną, Żegota siwą.

NAWÓJ

(*postrzegłszy ich staje nieruchomy, a po chwili podnosi czapkę*).

WOJSŁAW (*do brata*).

Prawda, prawda — wieki panie bracie, jakeśmy nie byli na przegińskim Zamku! A wszystko w nim dzięki Bogu, jak było, jedna cegła nie wypadła starcowi z boku, jednéj chorągiewki nie brak na dachu. Tak zupełnie, jak gdyśmy tu byli na pana brata nieboszczyka weselu.

ŻEGOTA.

Stare nasze gniazdo!

WOJSŁAW.

I musi pozostać w naszém imieniu — Strach pomyślić, że spadło na kądziel — i ale póki my żywi —

(*postrzega Nawoja*).

A wszak ci to wy zapewne! Tak! nie mylę się — Nawój —

NAWÓJ.

Jam do usług waszych miłości. —

ŻEGOTA.

Jak się macie? — Coż — nie poznajecie nas —

NAWÓJ.

I owszem — Czekam rozkazów —

ŻEGOTA.

Oznajmcie o przybyciu naszém synowicy i otwórzcie komnaty.

(*wskazuje ręką aby wyszedł, Nawój się oddala ku gankowi i wchodzi na Zamek*).

Scena siódma.

WOJSŁAW, ŻEGOTA.

ŻEGOTA

(*smutnie się oglądając do koła*).

To dziedzictwo kobiéty! —

WOJSŁAW.

Smutno pomyśleć, najstarszy gród w naszém imieniu, co tyle pamięta, tyle nam wszystkim drogi!

ŻEGOTA.

To też nie myślicie zapewne, abyśmy mu dali przejść w obce ręce i cudze imię. Dobrze żeśmy dożyli czasu postanowienia sieroty i obmyślim.

WOJSŁAW.

Nic łatwiejszego — Otto sam się nastręcza.—

ŻEGOTA.

Otto!! — Myślałem o nim i ma lat pięćdziesiąt, słuszny wiek i w sam czas mu

przyjdzie bogata dziedziczka, gdy na wyprawach swojéj majętności nadszastał.

W o j s ł a w.

W służbie i powinności krajowéj.

Ż e g o t a.

I nie żal mi też tego wcale; a cieszę się, że mu damy radę i pomoc skuteczną.

W o j s ł a w.

Oznajmiliście mu o téj waszéj myśli?

Ż e g o t a.

Jeszcze nie— Jednakże widząc się z nim w Krakowie— badałem go, czy nié ma myśli znowu się ożenić. Nie daleki od tego— Coś nie coś nadmieniłem.

W o j s ł a w.

Możeby więc i Dorocie o tém oznajmić?

Ż e g o t a.

Po co?

W o j s ł a w.

Kiedy już postanowimy.

Ż e g o t a.

Dowie się, gdy do Ołtarza iść przyjdzie.

W o j s ł a w.

Macie słuszność bracie, zobaczyćby się nam z nią jednak.

Ż e g o t a.

Zapewne, ciekawym jak mi wygląda, czy jest w niéj krew Tęczyńskich i rysy poczciwych dziadów, bo jak wiécie, rodzi się z Niemkini, którą pan brat niepomiernie dla jéj gładkości umiłowawszy, poślubił, boję się, aby do niéj podobną nie była.

W o j s ł a w.

I mnieby to nie w smak poszło, ale bodaj, czy właśnie tak nie będzie, bo mi dawniéj powiadali, że dziécię samowolne a ciężkie do utrzymania na wodzy.—Toć to nie naszego rodu natura.

Ż e g o t a.

Nie naszych białychgłów; ale Otto z Rabsztyna, utrzymać by najsamowolniejszą potrafi—A potém w dziecku a sierocie krnąbrność to przebaczona, w dorosłéj dziéwce być nie może.

WOJSŁAW.

Może, ale nie powinna.

ŻEGOTA.

Nie może, Panie bracie — Białéjgłowy natura być posłuszną i poddaną.

WOJSŁAW.

Tak bywało.

ŻEGOTA.

I będzie — Wiécie starą gadkę o długim włosie — Nareście, tak na całym świecie rzeczy porządek.
„Nam rozkazywać, im słuchać, kądziel prząść, dzieci kołysać i w kącie siedzieć....

WOJSŁAW.

Bodajby to wszystkie takie były, jak Waszmościna, co przykładem dla innych być może.

Scena ósma.

Ciż sami. Dorota u ganku, schodzi powoli, patrząc na Stryjów dumnie; oni z podziwieniem poglądają na nią.

Żegota (*do brata cicho.*)

Patrz, to nasza sierota— Zakaty czegoś dumne oblicze, jakby Królowa! nie śpieszy coś do nas — Rysy téj Niemkini, nic naszego!

Wojsław.

Prawda! nie podobna do nieboszczyka wcale.

Żegota.

Chyba nie wié kto my?

Wojsław.

Powinnaby się domyślić?

Żegota.

Dobrze czas! Ta dumna obojętność, wcale mi się nie podoba.— Opiekunowie to rodzice — a rodzice obrazem Boga na ziemi.

(*do Doroty*).

Zbliż się!

DOROTA.

Kto wy jesteście, żebyście mi rozkazywali?

ŻEGOTA (*trochę gniewnie*).

Mogliście się domyślić zaprawdę—Stryjowie i Opiekunowie wasi?

(*Dorota stoi nieruchoma*).

Cóż to, nie wiécie jak nas powitać?

DOROTA.

Nie częstoście nas odwiedzali, i nie nauczyli.

ŻEGOTA (*zdumiony do brata.*)

Co to jest? co ona mówi?

WOJSŁAW.

Nie rozumiém.

ŻEGOTA (*obracając się ku niéj*).

Zbliżcie się — nie słyszycie?

(*Dorota powolnie schodzi i staje*).

Nie wiécie jak się wita Stryjów Opiekunów, co rodziców zastępują — Stoicie nieruchoma.

DOROTA.

Nic dla was nie czuję — nie znam was—

ZEGOTA (*do brata*).

Ona szalona! doprawdy szalona.

WOJSŁAW.

Zdziczała tylko — byłem zawsze téj myśli, aby ją lepiéj oddać do klasztoru na wychowanie. Sama jedna....

ŻEGOTA.

Na co kobiécie wychowanie, dość aby wyrosła gładka, cicha i posłuszna.

WOJSŁAW.

Piérwsze jest, ale co drugich dwojga podobno jeszcze jéj nabywać potrzeba. — Będzie miał Otto nie małą pracę, póki uchodzi.

ŻEGOTA (*z pogardą*).

O! kobiéty!!

DOROTA.

Żądaliście czego odemnie?

ŻEGOTA.

Więcéj uszanowania i milszego powitania. Czuwaliśmy nad wami sierotą.

DOROTA.

Czemuż piérwszy raz was widzę?

ŻEGOTA.

Zupełnie dzika.—Bo dziś dopiéro czas pomyślić o waszym losie.—Dorośliście się, dzięki Bogu, hożo i pięknie, pomyślim o postanowieniu.

DOROTA.

Zostawcie to mnie! Nie myśliliście o mnie ośmnaście lat, nie troszczcie się i teraz.—

ŻEGOTA.

Co ona mówi?

WOJSŁAW.

Nie pojmuję — Nigdym tak mówiącéj kobiéty nie słyszał!

ŻEGOTA.

Nie wiécie więc, jakie się posłuszeństwo

i uszanowanie rodzicom, a na ich miejscu Opiekunom należy. —

DOROTA.

Nie wiém, bom i Rodziców i Opiekunów nie znała.

ŻEGOTA.

Nie pojmuję.

(*Wojsław wzrusza ramionami*).

Więc ich poznasz teraz — poznasz, że choć nie widoczna, ich władza nie ustała nad tobą.

DOROTA.

Nad mojém mieniem?

ŻEGOTA (*silnie*).

Nad tobą — krnąbrne dziecko!

DOROTA.

Jeszczem się nie sprzeciwiała, nie nazywajcie mnie krnąbrną — aż będę nią! a będę nią. —

ŻEGOTA.

Tego nadto!

Dorota (*żywo*).

To nic jeszcze! to nic! Zobaczycie daléj Stryjowie, zobaczycie! Uznaję waszą władzę, nad majętnością moją, ale nie nademną. — Rodziców nikt nie zastąpi, nie mówcie, żeście ich zastępowali, nie widziałam was lat ośmnaście — Nie znam was— zostawcie mnie jak byłam swobodną i samą.—

Żegota.

Rodzaj dziwnego szaleństwa jakiegoś! Ale nam nic o tém nie donosili. —

Dorota.

Albożeście kiedy spytali o sierotę? albożeście się dowiadywali kiedy o nią?

Wojsław.

Kobiéto— opamiętaj się. Nie wam czynić starszym i mężom wymówki, rzucacie się, jak dziki zwierz na Kapłana.—

Żegota.

Nic to, nic — Jest to skutek odludnéj samowolności, skutek miękkiego służebne-

go wychowania — nie śmieli dziecka karcić i wyrosło na dziewczynę krnąbrną i bezrozumną! ale Otto z Rabsztyna da temu rady, on tę wilczycę ugłaskać potrafi.

Dorota.

Ktoż to jest wasz Otto z Rabsztyna, i co on do mnie?

Żegota.

Nic ci teraz do tego! poznasz go, gdy będzie czas i miejsce, a poznasz wkrótce.

Wojsław.

Im prędzéj, tém lepiéj.

Dorota.

Przeznaczyliście mnie go za męża zapewne?

Żegota.

Zuchwała! śmié się domyślać! — A więc tak jest, nie mylisz się, Ottona daliśmy ci za męża.

Dorota.

Dajcie go któréj z córek waszych, nie mnie, ja sama wybiorę sobie męża.

Żegota.

To jest wyraźne szaleństwo!

Wojsław.

To tylko zdziczenie, które ułagodzić łatwo — Otto się go nie zlęknie.

Dorota.

Możecie mu oddać majętności moje, Przyginie, Tęczyn i włości, którémi z nim zapewne frymarczyć chcecie, ale nie oddacie mnie.

Żegota.

Co ona mówi! —

Wojsław.

Powtarzam, nigdym w życiu nie słyszał tak mówiącéj kobiéty.

Żegota.

Ani ja — Ona rozum straciła.

Dorota.

Nie! nie straciłam go, wiém co mówicie, co zamierzacie, co myślicie, i wiém czego chcę — i uczynię co chcę.

ŻEGOTA.

Od jakże to dawna kobiéty poczęły się rządzić wolą swoją?

DOROTA (*z uśmiéchem*).

Nie wiém, bo nie byłam na świecie, ale czuję, że mojéj woli przed niczyją nie ugnę. Mam uczucie jak wy, mam rozum jak wy.

ŻEGOTA (*z powagą*).

Ona bluźni.

DOROTA (*kończy*).

Dla czegożbym jak wy, woli swojéj mieć nie miała?

WOJSŁAW.

Ona mnie przeraża!

DOROTA.

Przecięż, zlękliście się niewiasty!

(ŻEGOTA i WOJSŁAW *wzruszają ramionami*).

Wiém wszystko — Chcecie mnie wydać za Ottona, aby majętność z imienia waszego nie wyszła — oddajcie mu więc majętność, a zostawcie mnie swobodną.

W o j s ł a w.

Trzeba z nią mówić inaczéj.

Ż e g o t a.

Nie o majętność tu jedną chodzi, uparta dziewczyno, nie o majętność, ale o was, a więcéj niż o was o imie, które nosisz, bo to imie, jest imieniem rodu naszego.

D o r o t a.

A cóż mi do tego rodu? Albożznałam kogo z was, albożwas kocham, albożeście mnie kochali: co mnie wiąże z wami i z tém imieniem i rodem, których prawie nie znam? — Za męża nie wezmę Ottona, bo miłością kocham innego, i ten jeden będzie moim panem. —

Ż e g o t a.

Bezwstydna! ona śmiała powiedzieć.—

W o j s ł a w.

To są skutki dzikiego osamotnienia — wybujałych myśli— Trzeba ją było dać do klasztoru.

DOROTA.

Zostawcie mnie w pokoju — Rządźcie, jakeście rządzili majętnościami, oddajcie je sobie komu chcecie, ale nie mnie — ja mam w sercu narzeczonego.

ŻEGOTA.

Miałżeby ją kto uwieść! Więc jéj nie strzegli, więc tu kogoś dopuszczono; to łapka na majętności nasze, to hańba imieniu....

DOROTA.

Nikt tu nie był, nikt się nie podkradł, samiście postawili przy mnie tego, którego kocham i wybrałam. —

ŻEGOTA i WOJSŁAW.

Ktoż to jest?

DOROTA.

Nawój!

ŻEGOTA.

Ten nikczemnik! Ten —

WOJSŁAW.

Jeden sługa, cośmy go z łaski do znaku czasu wojny przyjęli. — Każcie go uwięzić.

ŻEGOTA.

To najczarniejsza zdrada! to najpodlejsza niewdzięczność. —

DOROTA.

On nawet nie wié o tém, żem go wybrała—Nawój, jest najszlachetniejszym z ludzi. —

ŻEGOTA.

Idź bracie i każ go wziąść.

DOROTA.

Weźcie go, kiedy chcecie, ale jeśli mu włos spadnie z głowy, ani Otto, ani nikt w świecie ręki mojéj mieć nie będzie — umrę w klasztorze, a majętności mnichom rozpiszę.

(Bracia spoglądają po sobie).

WOJSŁAW *(z cicha).*

Trochę cierpliwości. —

ŻEGOTA.

Chodźmy do Zamku, naradzim się—To coś niepojętego, nie wierzę uszom moim.

(wychodzą szybko w ganek).

Scena dziewiąta.

Dorota (*sama*).

Nie pojmują mnie nawet, nie rozumieją. Tak im się to dziwném wydaje, że białogłowa chce mieć wolę swoją — chce sama sobą rozrządzać. Przekonacie się jednak, żem nie darmo Tęczyńska i mężnych a stałych przodków córka.

Scena dziesiąta.

Dorota — Nawój (*przebiega scenę*).

Dorota (*biegnąc ku niemu*).

Ja im powiedziałam! oni już wiedzą.

Nawój.

Kto? Co?

Dorota.

Że chcę być twoją!

Nawój.

Więc zgubiłaś mnie.

DOROTA.

Oni cię tknąć się nie ośmielą. —

(zamyśla się).

Słuchaj — jednak lepiéj, bezpieczniéj— Ty uciekaj — ja do ciebie przybędę— Uciekaj — ja się bać o ciebie poczynam. —

(gwałtownie).

Uciekaj póki czas jeszcze!

NAWÓJ.

Nie! nie! nigdy — Nawój w życiu swojém nie uciekał ani razu — Ucieczką przyznałbym się do wszystkiego złego, o które mają prawo mnie posądzać! Ty, miłościwa Pani, wiesz najlepiéj żem nie winien, żem się nie starał o miłość twoją, i nie zawiódł zaufania i nie śmiał aż do dnia dzisiejszego podnieść oczu i myśli ku tobie. Nie chcę uciekać. Zostanę w miejscu, niech czynią ze mną co się im podoba. Śmierć jeszcze wolę niż plamę niewdzięczności i zdrady.

DOROTA.

Śmierć! A więc i mojéj chcesz śmierci?

NAWÓJ.

Na Boga! Nie mówcie tego, ja stracę rozum — Wy—i ja — Ja — sługa —

DOROTA.

Ty! nie sługa — ale mój luby, ale najulubieńszy z ludzi, jedyny. Ty, którego od dzieciństwa rosnąc kocham jak kwiat słońce, jak ryby wodę, jak ludzie ziemię.... Więc ty mi chyba nie wierzysz, więc ty dla mnie, dla sieroty nic nie czujesz, prócz litości. Ty siebie i swoją sławę droższéj cenisz niż mnie i miłość moją.— A! ty nic nie wiesz i na naszéj ziemi, może nie było miłości takiéj od owéj nieszczęśliwéj Heligundy, o któréj tyś mi mówił, którą kochał jeden z dziadów moich.—Ale ja cię nie zdradzę jak ona — Jam twoja, na zawsze twoja — uciekaj — ja pójdę z tobą, jak ona poszła ze swojéj ziemi, daleko—gdzie zechcesz, gdzie każesz —

(Klęka, on się cofa).

NAWÓJ.

To sen dziwny. —

DOROTA.

Tyś kamień. —

NAWÓJ.

A cześć moja.—

DOROTA.

A szczęście nasze!

NAWÓJ.

O! srogi bój we mnie. —

DOROTA (*wstaje*).

On nie kocha mnie, on mną gardzi, on walczy jeszcze z sobą. —

NAWÓJ (*spogląda na nią*).

Ale to nad ludzkie siły.—

DOROTA.

Uciekaj! Uciekaj na Boga! Oni mnie nie potrafią zmusić do złamania wiary, którą

ci dobrowolnie poprzysięgam—Jam twoja, uciekaj. Ja czekać na ciebie będę.—

N a w ó j (*waha się jeszcze*).

Mamże wierzyć? — mogęż się dać uwieść nadziei, i jakiéj nadziei!

D o r o t a.

Pewności! Ja ciebie kocham miłością — ja pójdę w świat za tobą — Uciekaj —

N a w ó j.

Bóg widzi, że to było nad siły ludzkie — Wszystko ci więc poświęcam, wszystko—A nawet poczciwą sławę moją! Nogą za progiem Zamku tego, będę zdrajcą podłym przechérą i niegodnym.—

D o r o t a.

Bóg i ja znamy ciebie— to dosyć:—idź.

(*Nawój furtką uchodzi*).

Scena jedenasta.

DOROTA

(*patrzy niespokojnie za uchodzącym*).

Oddycham wolniéj—Uszedł; naraziłam go na niebezpieczeństwo niewczesném wyznaniem mojém — Na co im to było mówić? —

(*Zamyśla się*).

Ujdę za nim — ucieknę, zamknąć mnie nie mogą — przymusić nie zdołają — Mam dość siły, aby się oprzéć dwóm starcom, których tylko nawyknienie panowania nad wszystkiém co ich otacza, silnymi czyni— Ale ja nie nawykłam ulegać i słuchać — Ja kocham Nawoja.

Scena dwónasta.

ŻEGOTA, WOJSŁAW, DOROTA.

ŻEGOTA (*wchodząc z ganku*).

Nigdzie go znaleść nie mogą — był tu przecię przed chwilą.—

WOJSŁAW.

Musiał uciec poczuwając się do zbrodni, do kary.

DOROTA.

Do jakiéj zbrodni? — Ktoż to jest tu występny? Jeśli kto, to ja — Nawój nigdy nie śmiał podnieść na mnie oczów, jam mu sama powiedziała, że go kocham miłością.

ŻEGOTA.

Bezwstyd nie pojęty!

DOROTA.

Ja sama nastręczyłam mu się — jam go uwiodła. — On się bronił mojemu przywiązaniu, jak sromocie, jak nieszczęściu, jak śmierci, ale musiał mnie uledz.

WOJSŁAW.

Podły sługa! przypomnieliście tu sobie na Zamku Bolesławowskie czasy!!

ŻEGOTA.

Hańba nam wszystkim, hańba poczeiwemu imieniu, jeśli wieść się o tém ro-

zejdzie — Ona nie wyjdzie więcéj na świat, jego....

W o j s ł a w.

Jego potrzeba zabić.

D o r o t a (*zimno*).

Czemuż nie nas oboje?

Ż e g o t a (*spoglądając na brata*).

Może i to być potrzebném!

Koniec Aktu I-go.

AKT II.

W Zamku Przegini, wielka sala, troje drzwi, na prawo, na lewo i wprost. Długie gotyckie okna, na ścianach ciemne wielkie portety, mało sprzętów. Dokoła grube ławy dębowe, wielki stół takiż.

Scena piérwsza.

DOROTA (*sama*).

Człowiek prędko starzeje, gdy cierpi. Mnie się zdaje, żem w tych kilku miesiącach przeżyła wieki, przepłakała lata długie, żem całe dziesiątki lat cierpia-

ła — A! a to tylko kilka miesięcy, kilka miesięcy srogiéj niewoli zamknięcia i sroższego oczekiwania.—I puściéj tu jeszcze niż kiedykolwiek było, twarzy nowéj nie widać, głosu ludzkiego nie słychać; — litości ich jeszczem winna, że mi zostawili moją piastunkę Janowę i mleczną siostrę Jadwisię— Jeszcze im za to wdzięczną być muszę. —

O! samam po części winna wszystkiemu! — Po co im było mówić o téj miłości, po co się było sprzeciwiać.—Uciekać z nim daleko! uciekać było i wszystko porzucić! Im chodzi o majętności — jabym je była zostawiła — o imię — jabym się mojego zaparła. Zawijając głowę po ślubie, byłabym z niéj zrzuciła tę nieszczęsną koronę przodków, co mi się wpiła do skroni nieproszoną żmiją!

(*Chwyta się za skroń*).

Ktom ja? — Kobiéta — Jam nie Tęczyńska, jam białogłowa co kocha i cierpi z miłości, jam prosta dziewczyna, uboga sierota! Na co mi to marne imię, które ni

grzeje, ni karmi; które mi dając kawałek jak cudzy czarnego chleba, nie dało, ani jednego serca, ani jednego bratniego uścisku — dla którego jam niewolnica.

(*milczy chwilę*).

I on jeszcze pokutuje za to, żem ja nie wolna, pokochała go i gwałtem zarzuciła nań uścisk, co w nim zdusił cześć, sławę, spokój — co mu pogroził niewolą i uczynił go wygnańcem — O! widziałam go kilka razy z tego okna, jak się smutny, blady, podkradał, aby mnie zobaczyć — On mnie kocha — Rzuciłam w tę czystą i piękną duszę, żar, którym musi rozpłonąć — On mnie kocha, on kochać mnie będzie — ja to czuję, bo ja go kocham przeczuciem wielkiego szczęścia i wielkiej wzajemności. Ja go kocham — o! z duszy go kocham, jak nic nigdy nie kochałam w życiu — Dla niego, u nóg tego człowieka pojmuję dobrowolną, słodką niewolę kobiety. — On mój pan — U jego kolan, patrząc mu w oczy, przędłabym kądziel cicho posłuszna, a gdy-

by mnie uderzył żelazną rękawicą, tobym krew z niej własną pocałunkami zmyła, a gdyby mnie popchnął, nieośmieliłabym się jęknąć. On pan—ja niewolnica, ja kobiéta jego, ja żona.

Ale dla innych, dla was—!! Kto śmie rozkazywać mnie? Kto? śmié mi mówić, czyń to co chcę? Kto? nikt! nikt! Jeśli udam posłuszną, to skłamię—aby kupić swobodę i—

(*Zamyśla się głęboko.*)

Gdy trzeba kłamać, jak ciężko z piersi przywykłéj oddychać powietrzem i prawdą — wyrwać piérwszy fałsz! A jednak! kto wié—Ja może będę musiała tą ceną kupić nasze szczęście. — O! bo nié ma czegobym dla niego nie uczyniła.—Cicho! Może mnie szpiegują — Ktoś idzie? — A może to on —?

Po cożby tu przyszedł — Nie chcę. —
To oni — moi, stryjowie —
To pewnie oni —

(*Wygląda oknem i odbiega szybko od niego na środek, załamując ręce.*)

A! to oni—Odwagi! Siły! Cierpliwości—Chytrości nawet. To oni.

Scena druga.

Drzwi główne otwierają się. — Wchodzą: Wojsław, Żegota, *za niemi* Otto z Rabsztyna. *Dorota spogląda na nich w milczeniu długiem i odchodzi na lewo zatrzaskując drzwi za sobą, z dumną postawą.*

Żegota (*do Ottona*).

Widziałeś ją?

Otto.

Widziałem i patrzę jeszcze, tak piękna z tą swoją rodową Tęczyńskich dumą.

Żegota.

Mówiłem ci, dzika jak łania, a uparta.

Otto.

I ja jestem Toporczyk i na uporze mi nie zbywa, trafi kosa na kamień, a choć włos mi trochę posrébrzał i przerzedniał, młodo jeszcze w sercu i siłach.

Żegota.

Dla tegożto panie bracie, wybraliśmy

ciebie, potrzeba tu nie łada ptasznika, na unoszenie takiego ptaka, dobrze go głodzić i przymęczyć, nim uzna pana nad sobą.

Otto (*kiwa głową.*)

Nie bójcie się.

Wojsław.

Więc zgoda — wesela odkładać nie ma czego, bo na nie spraszać nikogo nie będziemy. Po cichu się ono odbędzie na Przegini. Spiszemy akt i pokwitujecie nas z opieki.

Otto.

Nie patrząc rachuby.

Żegota (*dumnie*).

Owszem panie bracie. Jak najściślej słuchajcie nas liczby, ażebyś nie pomyślał, nie powiedział, nie rozumiał, że z piérwszego mienia w ręku stryjów jedna kropla została, że Toporczyk, Toporczykowi oddał mienie z sierotą, aby kupił bezkarność.

W o j s ł a w.

Pilnujcie liczby—Idzcie do skarbcu, obejrzycie wszystko a nie znajdziecie wszystkiego co być powinno?... dopomnijcie się u nas — myśmy winni.

O t t o.

Winienem wam więc ścisłe wejrzenie we wszystko.

Ż e g o t a.

Tak, nam i sobie i imieniu naszemu, na którem dzięki Bogu nie ma plamy, nie było plamy, i póki my żyjem nie będzie.

W o j s ł a w.

Przodkowie nam tarczę niepokalaną zostawili, oddamy ją tylko krwią naszą, na nowo odbarwić się, naszym wnukom.

Ż e g o t a.

Lecz nim się w to jarzmo zaprzężecie, musimy wam powiedzieć wszystko, nic nie tając.

OTTO.

Jestże tajemnica jaka. Tajemnica to już plama. Co się całe i nagie na świat pokazać nie może, już nie szlacheckie jest.

ŻEGOTA.

Słuchaj, a będziesz sądził. Ty wiesz życie nasze całe, życie nasze to ciągły a nie ustanny bój, to praca bez wytchnienia. My nie dla siebie żyjemy, dla Króla, dla Kraju, których piersiami bronim. Stoim na straży od wrogów, pilnujemy Zamków, jezdzim w pole bitwy i rzadko ze spotniałego czoła, zdejmujemy hełm, co przyrósł do skroni, rzadko siedzim u ognia, popieścić sokoły, psy i zobaczyć żony i dzieci nasze.

Lat temu siedemnaście, dali nam znać o śmierci poczciwéj brata naszego i pozostałéj po nim sierocie. Jam wówczas z Wojsławem był w Węgrzech, zostawiwszy na opiece piastunki dziewczynę, a Zamek oddaliśmy ubogiemu Nawojowi, co pod naszym bił się znakiem, polecając mu rządy i władzę i obronę jego. Zbiegły te lata jako mgnieni

oka — niewiém czym trzy razy po trzy niedziele był w domu, nie znam żony, nie pamiętam twarzy moich dzieci, dziwnoż iż o cudzém choć braterskiem zapomniałem? Dorota została na swoim Zamku z kobiétami, sama i tak wzrosła.

Otto.

A jakże miało być inaczéj?

Wojsław.

Jam radził oddać ją do Klasztoru.

Żegota.

I dobrze radził może. Jam się omylił sądząc, że lepiéj jéj prząść kądziel matczyną na swoim progu.

Otto.

Stałoż się co z tego, że pozostała w domu?

Żegota.

Stało się że wyrosła dziką, niepohamowaną, upartą, białogłową jakiéj nie widzia-

łem w życiu, bo samowolną i krnąbrną — do czego ich Pan Bóg nie stworzył.

Wojsław.

Młode to jeszcze i poprawić się może.

Żegota.

Gdyśmy tu przed kilką miesięcami przybyli z bratem, przyjęła nas wymówkami ostremi, a domyślając się zapewne, że już o postanowieniu jéj poczynamy dumać, oświadczyła, że sama sobie męża wybrała.

Otto.

Sama sobie? kobiéta, sierota?

Żegota.

Tak! to było szaleństwo. Powiedziała że kocha miłością Nawoja, i że on tylko będzie jéj mężem.

Otto.

Nawój więc podle ją uwiodł, nadużywając zaufania.

Żegota.

Pytałem ludzi, badałem; tak nie jest, Nawój niewinny — ona go pokochała, ona sama bezwstydnie mu to zeznała i uwiodła go.—Na jéj rozkaz uciekł i skrył się.

Otto.

I wybraliście mnie za męża takiéj niewieście.

Żegota.

Ciebie, bo ty potrafisz ją poskromić i pohamować.

Wojsław.

Otto miałby się zląknąć kobiéty?

Otto.

Nie kobiéty, ale niesławy.

Żegota.

Śmiałbyś podejrzywać ją?

Wojsław.

Możesz pomyślić?

Otto.

Nic więcéj nad to co mówicie. — Nawój uciekł, ale kto wié, czy wprzód.....

Żegota.

Panie bracie, ona Tęczyńska! nie plam sam swojego imienia taką myślą. To być nie może; mogła oszaleć, ale nie podobna aby się splamiła, jabym ją zabił, gdybym to o niéj pomyślał.

Wojsław.

I jabym ją zabił.

Otto. (*zamyślony*)

I jeśli tak jest, to ja ją zabiję.

Żegota.

Będziesz w prawie; a teraz odejdź, każemy ją przywołać i wybadamy, nadejdziesz, gdy po ciebie przyszlemy.

(Otto wychodzi na prawo).

Scena trzecia.

ŻEGOTA i WOJSŁAW (*siadają we dwóch krzesłach przy stole. Milczenie.*)

Żegota.

Każcie ją przywołać!

Wojsław.

(*uderza w dłonie, sredniemi drzwiami wchodzi dworski*)

Pozwać Pannę Dorotę do nas!

(*sługa odchodzi*).

Dwaj bracia w milczeniu, patrzą po ścianach. Żegota zrywa się z siedzenia.

Żegota

Czytałeś bracie księgę, którą najstarszy w rodzie naszym, odziedzicza i wpisuje w nią czyny ojców i swoje, zaledwie wzmiankując o matce swoich dzieci i towarzyszce życia, bo zasługą to jest kobiety, gdy o niéj nié ma co pisać. Czytałeś ją?

Wojsław.

Czytałem i płakałem z uwielbienia, czytając. Złote czyny i złotemi na purpurowéj skórze, wypisaćby je głoskami.

Żegota.

A doczytałeś się tam plamy.

Wojsław.

Żadnéj? Święte ojców popioły nie mają się czego rumienić!

Żegota.

I żyłeś z tą myślą jak ja, dodania karty w téj księdzie.

Wojsław.

Krwiąśmy ją naszą pisali.

Żegota.

A jedna sierota, jedno dziecko, jedna kobiéta, miałaby splamić ród, nas i świętą pamięć ojców i poczciwą sławę matki?

Wojsław.

Rozumiem! Ale nie dopuścim tego! Chwi-

łowe szaleństwo ustąpić musi, ona się upamięta. — Otto potrafi ten hardy umysł poskromić.

Scena czwarta.

Ciż sami—Dorota wchodzi ze drzwi lewych na ostatnie wyrazy.

DOROTA.

Ani Otto, ani wy, ani nikt, nie poskromi tego hardego umysłu, nie zegnie téj twardéj woli.

ŻEGOTA. (*powstając*).

Milcz, kobiéto, rachuj twe słowa, ty nie wiész co mówisz.

DOROTA.

Wiém i wiém co myślicie, co zamierzacie. Wszystko słyszałam, wiém wszystko chcecie mi dać z ręki waszéj męża, zmusić mnie do posłuszeństwa, do poddania pod prawo wszystkich białogłów, którym i jęczeć bez pozwolenia nie wolno. Pamiętaj-

cie żem wyrosła swobodna i że za poźno giąć drzewo, które do góry się podniosło.

ŻEGOTA.

Za poźno giąć, powiadasz, ale zawsze czas ściąć i spalić.

DOROTA.

A więc sprobujcie.

WOJSŁAW. (*po chwili*)

Słuchaj Doroto, my nie chcemy nic nad dobro twoje—zkąd ta niechęć przeciw nam i niewiara?

DOROTA.

Dla czegoż miałabym was kochać i wierzyć wam?

Żegota i Wojsław spoglądają po sobie.

ŻEGOTA.

Napróżno staralibyśmy się ją upamiętać. To szaleństwo!

DOROTA.

Prawda! w oczach waszych to szaleństwo, a co gorzéj nie poprawione.

ŻEGOTA.

O tém nam sądzić... Wiele się rzeczy przemienia; a wiele może czas i siła.

DOROTA.

Więcéj może jedno uczucie w sercu i myśl w głowie.

ŻEGOTA.

Za młodaś aby o tém sądzić!

WOJSŁAW.

Posłuchaj! Nie upieraj się przy niechęci swéj i zaciętości nie wytłumaczonéj, dziwna niewiasto — Przyszłaś do lat stateczniejszych, czas do rozumu przyjść i opamiętania. To co czynisz i mówisz, ledwieby dziecku szamocącemu się w rękach piastunki przystało. Potrzebna silniejsza ręka coby cię wiodła, pilniejsze oko nad nasze, coby cię strzegło.—Czas postanowić cię— Dajemy ci męża nie z obcego, nie z podłego rodu, ale z własnéj krwi naszéj, męża

statecznego, który królewskiego rodu, niewieście, cześćby i szczęście uczynić potrafił.

DOROTA.

Dajcie go córkom waszym jeśli je macie — odstępuję chętnie téj czci i szczęścia.

WOJSŁAW.

Wybijcie sobie z głowy, szalone tam jakieś i dziecinne przywiązanie.

DOROTA.

Szalone! dziecinne! Nie może się ono wam inaczéj wydawać! Tak jest, szalone, bo legło na waszéj drodze a dziecinne może, bo ze mną rosło od dzieciństwa! Szalone, bo Nawój ubogi i bez imienia.

ŻEGOTA.

Tak jest, a ani ty, ani twoja majętność nie pójdą w cudze ręce, w podły ród.

DOROTA.

Chcecie więc poświęcić mnie, imieniu waszemu?

W o j s ł a w.

Tak być powinno i musi.

D o r o t a.

Choćbym umarła na ofiarę imieniu i wam.

Ż e g o t a. (*zimno*).

Cóż śmierć jednéj kobiéty!

W o j s ł a w.

Ze śmiercią twoją, majętność przechodzi na najbliższą linję męzką.

D o r o t a.

A śmierć jednéj kobiéty — ?

Ż e g o t a.

Pogrzeb w grobie familji, kilka łez służebnych i nic więcéj.

D o r o t a.

O mój Boże! oni to mówią tak zimno; I ja mam ich czcić, mam szanować, mam

słuchać, gdy oni zarzynają mnie na ofiarę jak bydlę! Ale ja nie kocham Ottona, ale ja go nienawidzę! Jam młoda, on stary, ja nie będę mogła żyć bez tego, do którego przywykłam, który mi jest jak powietrze, jak słońce potrzebny.

Żegota.

Bezwstydnie szaleje.

Wojsław.

Wszystko to co mówicie, naprożno, nie możecie nas poruszyć, ani odwieść od myśli, ani przekonać. — Nawój nigdy mężem Doroty z Tęczyna nie będzie—Otto poślubi cię, dziś jeszcze. Ale biada tobie, jeśliś ty jego nie godna — jeśli — Wstydzę się powiedzieć i nie mogę pomyślić.

Dorota. (*dumnie*).

Nie rozumiem was —

Żegota.

Milczcie — to być nie może — Wiedzcie Doroto, że Otto, któregośmy ci przezna-

czyli, nie będzie nigdy powolnym, łagodnym i pobłażającym małżonkiem — Jeśli złamiecie mu wiarę poprzysiężoną, on cię zabije.

DOROTA.

Jeszczem mu nie przysięgła.

(*wychodzić chce*).

ŻEGOTA. (*wstrzymując ją*).

Poczekaj, oto wasz przyszły pan i małżonek.

Scena piąta.

Ciż sami — OTTO *wchodzi z postawą srogą i dumną* — *Dorota i on patrzą sobie oko w oko.*

OTTO.

Tak, ja nim jestem—przypatrzcie mi się, abyście nie mieli ochoty sprzeciwiać się na potém mojéj woli — bo nie zniosę przeciwieństwa.

D o r o t a.

I ja także! przypatrzcie mi się, bo nigdy nie będę waszą żoną.

Ż e g o t a.

Śmiesz to powiedzieć!

(*Wojsław wychodzi.*)

D o r o t a.

Słyszysz com powiedziała, rób co myślisz i chcesz — Ja nie będę jego żoną.

Ż e g o t a.

Nim słońce zajdzie — przysiężesz mu.

D o r o t a.

Nigdy.

O t t o. (*do Żegoty*).

Słyszysz?

Ż e g o t a.

Szczebiotanie ptasze, każcie przygotować wszystko do ślubu i zostawcie mnie z nią.

Otto. (*wychodząc.*)

Możeby lepiéj łagodnością.

Żegota.

Bądź spokojny — dam jéj radę.

Scena szósta.

ŻEGOTA—DOROTA.

Żegota. (*powolnie.*)

Tak więc, powiedzieliście, że nie będziecie żoną Ottona?

Dorota.

Nigdy.

Żegota.

Rozmyślcie się, abyście nie odwoływali raz wyrzeczonego słowa;

Dorota (*dumnie*).

Ja?

Żegota.

Wy — to wiém że dziś, nim słońce zajdzie, będziecie żoną Ottona.

Dorota.

Powiedzcież mi, jak mnie do tego zmusicie? — Możecie mnie powlec do Ołtarza, choćby żelazem skuć nasze ręce, ale wymódz przysięgę....

Żegota.

Ty ją sama dobrowolnie wyrzeczesz.

Dorota.

Chyba na miejscu Ottona, postawisz Nawoja.

Żegota (*zbliżając się*).

Nie — ale postawię przed tobą Nawoja, okutego w łańcuchy, jak przystało na zdrajcę, na zwodziciela; pokażę ci go w rękach kata ze stryczkiem na szyi, a ty pójdziesz do Ołtarza dobrowolnie.

Dorota. (*żywo*).

To być nie może, jam go wolnym widziała przed chwilą — On —

(*Bieży do okna, potém obłąkana leci do Żegoty*).

Mów, gdzież go pochwycił, cóż z nim zrobił, mów — Na Boga! O! to okropnie, to bezcześnie, to podłe — Ty chcesz karać zdrajcę, gdy i sam.

Żegota (*żywo*).

Powściągnij swój język niewiasto, bo i kobiécie obelgi nie daruję—milcz—Zdrajcęm pochwycił i ukarzę go śmiercią, jak zdrajcę, co się podkradł w zaufanie i uwiodł co był powinien strzedz.

Dorota.

Tyś z kamienia człowieku!

Żegota.

Ze stali—kobiéto—rozkruszysz, ale mnie nie ugniesz — jak topor Tęczyńskich.

Dorota (*obłąkana biega po sali.*)

To być nie może! Tyś skłamał, pokaż mi go! To fałsz.

Żegota.

Kobiéto, po drugi raz powtarzam po-

wściągnij język bezwstydny — Jam w życiu fałszu nie powiedział, choćby mi prawda miała wszystkę moję krew kosztować.

D o r o t a (*nagle.*)

Ty go zabijesz?

Ż e g o t a.

Jeśli go nie uwolnisz sama....

D o r o t a.

Jak?

Ż e g o t a.

Posłuszeństwem nieograniczoném.

D o r o t a.

A ktoż mi za dotrzymanie słowa twego zaręczy?

Ż e g o t a.

Powiedz mi kiedy Tęczyński zawiódł dane słowo!

Dorota.

Ty mi je dajesz, że go uwolnisz żywego, złego mu nie czyniąc.—Ty mi dajesz słowo?

Żegota.

Jeszczem ci go nie dał.—Bądź posłuszna.

Dorota.

Będę ci posłuszną—Ot ręka moja, wołaj Ottona, niech mnie wiodą do Kaplicy — będę żoną jego — chcę być jego żoną.

Żegota.

Nawzajem, kto mi za dotrzymanie słowa zaręczy?

Dorota.

Słuchaj stryju—I ja jestem Tęczyńska—Nie obiecuję ci, że kochać będę Ottona, ale że zostanę żoną jego.

Żegota.

Na tém nam dosyć.

DOROTA.

Wołaj go i uwolnij Nawoja.

ŻEGOTA.

Jak ci pilno!

DOROTA.

Nie dręcz mnie, na Boga, ty i tak zabijasz mnie powoli.

ŻEGOTA.

Jeszcze żadna kobiéta z tego nie umarła. (*wychodzi.*)

Scena siódma.

DOROTA. (*sama*).

Więc niewola, więc posłuszeństwo jest chyba wiecznėm bobiéty przeznaczeniem. O! i na coż ją szydersko nazwali towarzyszką życia—

Nawój tu, blizko, ale za moją winę okuty — uwięziony, zbezczesczony może, on co dla miłości mojéj, czci nie chciał i po-

czciwéj sławy poświęcić, aż trzeba było prośb, trzeba było błagania — Oni go wypuszczą, ja żoną Ottona! O biada jego siwym włosom, nie wié co bierze do domu, nie wié jaki ciężar na ramiona wrzuca — Sercem i duszą będę Nawoja—jego na zawsze, a jeśli go spotkam w życiu — dla niego — o! dla niego złamię tę przysięgę, któréj nie wyrzekłam jeszcze, którą mam wyrzec dla niego — pójdę za nim...

(*po chwili*).

Swięcicie mnie, imieniu waszemu stryjowie. Ja imię wasze i moje, zemście kiedyś poświęcę — Coż imie, gdzie idzie o szczęście!— Imie, imie! Dla imienia i majętności, dla znaku mnie zaprzedają, dla chorągiewki na dachu, dla kamiennéj tafli nad bramą,—dla imienia. — O! bądź przeklęte imie moje, o wygaśnij rodzie obrzydły — ! Żoną Ottona, będę żoną Ottona! Tak! dobrze — i pozna Otton krew swoję w żonie!

(*obraca się.*)

Scena osma.

DOROTA. — NAWOJ (*wchodzi*).

DOROTA.

To ty, jakimże cudem!

NAWÓJ (*pogląda i milczy.*)

DOROTA (*podbiega*).

Powiedz, powiedz mi, jakim tu cudem przyszedłeś — Oni cię widzieli, oni cię puścili.

NAWÓJ.

Oni mi dozwolili przyjść do ciebie.

DOROTA.

O! rozumiem, aby mnie tobą, przez twe usta zwyciężyli!

NAWÓJ.

Abym cię na zawsze pożegnał!

DOROTA.

Tak — pożegnał — ale nie na zawsze.

N a w ó j.

Wyjeżdżam z kraju — dałem na to słowo szlacheckie.

D o r o t a.

Pośpieszyłeś się! Odwołaj — Ja nie chcę abyś jechał, ja chyba pojadę za tobą.

N a w ó j. (*spokojnie*).

Musimy się rozstać!

D o r o t a.

Kto nas przymusi, rozstać się na zawsze?

N a w ó j.

Powinność — Dałem słowo szlacheckie oddalić się z kraju, a jeśli mnie spotkają, będą mieli prawo....

D o r o t a.

Co ci zrobią —?

N a w ó j.

Zabiją.

DOROTA (*z rozpaczą*).

Tyś mnie nigdy nie kochał! Ty nie wiesz jaką dla ciebie spełniam ofiarę, a odbierasz mi siły do niéj.

NAWÓJ.

O jakiéj mówisz ofiarze?

DOROTA.

Dziś będę żoną Ottona.

(*Nawój milczy*)

Nie czujeszże mojéj ofiary?

NAWÓJ.

Skoro dobrowolna....

DOROTA.

Dobrowolna! człowieku! żadna siła w świecie zmusić mnie do tego nie mogła, ale potrzeba było, aby ciebie uwolnić, aby ciebie ze szpon ich wybawić — i dałem im słowo — A ty —

NAWÓJ.

I ja dałem słowo szlacheckie.

DOROTA.

Przeklęty, kto przysięgę wymyślił! przeklęty —

(*zakrywa sobie oczy.*)

Idź, idź więc—niech cię nie widzę, niech cię nie żegnam — I niech umrę prędzéj — A! umrzeć mi trzeba żoną Ottona!

NAWÓJ (*poruszony z cicha*).

Żegnaj mi — Ja wrócę —

DOROTA (*dosłyszawszy*).

Zdało mi się — słyszałam słowo jakieś?

NAWÓJ (*cicho*).

Słuchają nas.

DOROTA.

Słyszałam — Ale — ja nie chcę abyś to uczynił — Nie chcę.

(*po cichu*).

Nie wracaj, oni cię zabiją.

Nawój chce odchodzić, Dorota rzuca się przeciw niemu i woła z cicha.

O! powróć na Boga!

NAWÓJ

Powrócę — złamię słowo — zginę — ale powrócę do ciebie.

DOROTA.

Nie — nie — nie powracaj.

(*Nawój wychodzi*).

DOROTA.

Ja sama nie wiém co mówię, ja szaleję, ja głowę tracę — I pragnę, jego powrotu i boję się — O Boże! Na cożem się urodziła sierotą, na cożem się urodziła Tęczyńską, na co moja młodość rozkołysała mnie do swobody, gdy życie moje ma być niewolą!

(*po chwili*).

Dobrze więc! dobrze! Chcieli ofiary, pełnię ją, ale biada ci Ottonie, ale biada tobie imię Tęczyńskich, rodzie Toporów, ja splamię to imię, ja ród zbezczeszczę, ja na siwą głowę tego starca, zrzucę wszystko, co cierpię sama! Przeklnie dzień, którego o związku tym pomyślał, przeklnie —

Scena dziewiąta.

ŻEGOTA, WOJSŁAW, OTTO, DOROTA.

We drzwiach P. Janowa, Jadwiga i dworscy.

Żegota.

Czas do Kaplicy — wszystko gotowe.

Dorota. (*zimno*).

I jam gotowa — i ja, ale nim pójdziemy, pozwólcie słowo na osobności powiedzieć przyszłemu panu memu.

Żegota.

Bardzo dobrze. (*na stronie*). Zmieniła ton zupełnie.

Wojsław.

Oddalmy się.

(*Ustępują w głąb sceny, ale drzwi zostają otwarte.*)

Scena dziesiąta.

OTTO — DOROTA.

Otto.

Słucham — co mi powiecie?

Dorota.

Dwa słowa panie — Wiecie kogo bierzecie za żonę?

Otto.

Co to za pytanie! Tęczyńską, młodą, piękną, a upartą i gniewną dziewczynę.

Dorota.

Nie dość powiedzieliście panie i nie wszystko wiecie jeszcze. Tak: Tęczyńska jestem, uparta, gniewna, to prawda, czy piękna, nie wiem, nic i wam po mojéj piękności.

Otto.

Dla czegoż, kiedy żoną moją być macie!

Dorota.

Tak jest, dałem słowo, będę żoną waszą, ale majętności moje, imie moje i zimną tylko poślubicie rękę, nic więcéj — Nie myślcie w sercu, nie spodziewajcie się przywiązania, czułości, tego mieć nie będziecie, tego wam

nie da żona. Na siwą waszą głowę nie spadnie z moich ust, jedno słowo pociechy, użalenia, słodyczy, nie będę dla was żoną będę niewolnicą. — Nic z serca, wszystko za rozkazem i z musu czynić będę — Ja was nienawidzę, brzydzę się wami, nie cierpię was.

Otto (*zimno*).

To mnie nie obchodzi.

Dorota.

A gdy będę mogła, to was zdradzę, to was porzucę, to wam życie zatruję.

Otto.

Za wiele obiecujecie, abyście cokolwiek dotrzymać mogli — Zresztą jeśli potraficie co uczynić z tego, coście przyrzekli, moja w tém będzie wina, nie wasza. Bądźcie spokojni, nie dam wam szkodzić sobie; a za ostrzeżenie dziękuję, zawsze ono na coś się zdało, będę wiedział do czego się gotować.

D o r o t a.

Was to nie zraża?

O t t o (*śmiejąc się.*)

Kobiece pogróżki?

D o r o t a (*żywo*).

Chodźmy więc! Chodźmy! do Ołtarza!

Scena jedenasta.

Wszyscy wychodzą — zostaje P. Janowa sama, i pogląda ocierając oczy za odchodzącymi w głąb przez drzwi główne.

P. J a n o w a.

Biedne dziecko! Zawsze to takie było samowolne, nie cierpiało najmniejszego sprzeciwienia się, najmniejszéj uwagi—czego zażądało, mieć musiało. Ale zkąd jéj u Boga, ta miłość dla Nawoja! Nie pojmuję— A jakie się to zrobiło ostre, gniewne, niepohamowane, od czasu jak panowie Stryjowie pierwszy raz tu przybyli! No! dzię-

ki Bogu, że się to już wszystko kończy, a po ślubie, to zaraz będzie inaczéj i lepiéj. Takito nie może być, aby Otton, młodéj żony nie ugłaskał. Pomodlę się na tę intencję.

(*Chce się modlić, ale w téj chwili nadbiegają żywo Stryjowie i Otto — P. Janowa uchodzi we drzwi lewe mrucząc.*

Już tedy po wszystkiém! — już zaślubiona! Panie Boże daj szczęście.

Scena dwunasta.

ŻEGOTA — OTTO — WOJSŁAW.

ŻEGOTA.

No! szczęść ci Boże!

WOJSŁAW.

I daj Boże poczciwe potomstwo!

ŻEGOTA.

Synów! Synów, bo Tęczyńskich ród wygaśnie i xięga się nasza zamknie!

Otto.

Nie bójcie się, bracia. W naszéj majętności nié ma cudzego grosza, nié ma łez i krwi i ucisku — nie rozsypie się ona — na rodzie nie ciężéy przekleństwo.

Żegota.

To, cośmy dziś skończyli, podobno jest zdawna najdziwaczniejszym wypadkiem u nas — Dzięki Bogu, żeśmy radę dali, bez krwi rozlewu i gwałtownych środków.

Wojsław.

Dziwna kobiéta —

Otto. (*zamyślony.*)

Wy połowy jéj dziwactwa nie wiécie! Wielkim ciężar wziął na stare lata, ale mu podołam —

Żegota.

Spodziéwam się —

(*cicho*)

Już poźno: idźcie do niéj.

(*Otto wychodzi.*)

Scena trzynasta.

ŻEGOTA—WOJSŁAW.

ŻEGOTA.

Usiądźmy, spocznijmy! Powinszujmy sobie, wielkie dzieło dowiedliśmy do skutku. I spodziéwałżeby się kto, aby tak trudno iść miało, z jedną kobiétą?

WOJSŁAW.

Rzecz bezprzykładna — Lżéj i mnie na sercu, że to się skończyło — Ale nie zazdroszczę Ottonowi bogatéj dziedziczki i młodéj żony.

ŻEGOTA.

Ciężki kamień na jego szyję, ale twarda téż szyja.

WOJSŁAW.

Zobaczymy — nie przewiduję końca; a nié wiém czemu lękam się go?

(*Słychać na prawo krzyki za sceną*).

ŻEGOTA.

Słyszysz?

WOJSŁAW.

Krzyk kobiecy—zbliża się.

ŻEGOTA.

To jéj głos.

(Drzwi się otwierają — wybiega z nożem w ręku Dorota, za nią Otton.)

Scena czternasta.

DOROTA—OTTO *(poprzedzający).*

DOROTA.

Precz! nie dotykaj mnie starcze! nie dotykaj! Zaprzedali ci imię moje, majętności moje—ale nie mnie. Mnie nigdy mieć nie będziesz! Widzisz ten nóż — nie zbliżaj się, mam rękę silną, wolę silniejszą jeszcze! Precz odemnie, jeśli nie chcesz, abym go w piersi twojej utopiła. Żoną twoją nie ja — imię i majętność, zamki, włości — Precz odemnie! Tobie śmierć, śmierć mnie, jeśli przystąpisz!

(Wszyscy stoją w osłupieniu).

Słyszeliście wszyscy;—oddaliście mu co mogliście oddać, ale serca, ale duszy, które są moje, ja mu nigdy nie oddam. Ja kochałam i kocham Nawoja — ja cię zabiję, jeśli do mnie przystąpisz!

Koniec Aktu II-go.

AKT III.

Komnata na Zamku w Przegini; troje drzwi na trzy strony, na prawo wielki komin, u niego siedzą Darota za kądzielą, którą porzuciła. Jadwiga, która przędzie w milczeniu, poglądając niekiedy na panią.

Scena pierwsza.

DOROTA, JADWIGA.

DOROTA (*zamyślona po chwili*).

Wszystkichże kobiét takie życie, czy moje tylko? Osamotnienie, niewola, tęsknota, nuda i łzy za pokarm powszedni!

Jadwiga.

Są przecięż szczęśliwe — i pani — mogłabyś może być szczęśliwszą.

Dorota (*z uśmiéchem*).

Ja? szczęśliwszą! Biédne dziecko, nie rozumiałaś nigdy i nie zrozumiesz mnie i mojego życia!

Jadwiga.

Trzebaby tylko zapomnieć.—

Dorota

Naucz że mnie, jak się zapomina?

Jadwiga.

Ja nie wiém, u nas to samo i łatwo przychodzi.

Dorota (*z pogardą*).

Nie zazdroszczę wam tego szczęścia — Cierpienia nawet zapomniećbym nie chciała.

Jadwiga.

Moja droga Pani — żałuję was, ale nie pojmuję.

DOROTA.

Ja pojmuję ciebie i żałuję podwójnie, tyś biédniejsza odemnie.

JADWIGA.

Ja? ja?

DOROTA.

Tak ty! Nie rozumiesz ani niewoli, w któréj żyjesz, ani téj, która cię czeka....

JADWIGA.

Wy to nazywacie niewolą?

DOROTA.

Dziś jesteście moją służebną, jutro będziecie sługą waszego męża i dzieci.

JADWIGA.

O słodka niewola! Ja kocham Piotra Zaboja. —

DOROTA.

A jednak nie samaś go wybrała. —

Jadwiga.

Nie, on mnie wybrał, i za to poczęłam być dla niego wdzięczną, a skończyłam na przywiązaniu — Boję się go i kocham.

Dorota (*żywo*).

Nie mów mi o tém, daj pokój— Raczéj powiedz jeśli wiesz, kiedy ma wrócić Otto, abym się wcześnie modlić mogła, żeby jeszcze nie wrócił!

Jadwiga.

Nikt nie wié, kto, jak i kiedy powróci z wyprawy, a Kasztelan poszedł ze swoim znakiem jak wiécie, nie na spokojny Zamek, ale w bój krwawy.

Dorota.

I nic tam z téj wyprawy nie słychać?

Jadwiga.

Nic, prócz że naszych wielu poległo.—

Dorota.

Doprawdy, poległo wielu?

JADWIGA.

Różni, różnie mówią. —

DOROTA

(*przysłuchując się zadumana*).

Idź Jadwigo, przynieś mi. —

(*roztargniona*).

Przynieś mi. —

JADWIGA.

Co rozkażecie? —

DOROTA (*żywo*).

Mylę się — nic nie chcę. — Idź tylko i spocznij, mnie także spoczynku potrzeba — Idź, idź....

(*Jadwiga wychodzi powoli*).

Scena druga.

DOROTA

(*sama zamyka drzwi na rygiel.*)

Zdało mi się, żem słyszała znak umówiony? — Nic — cicho! Nié ma go jeszcze!...

(*chodzi po komnacie*).

Wszystko wre we mnie—Lękam się co chwila o niego — Żegota nie darmo siedzi na Zamku, on zwietrzył Nawoja— on przeczuł sromotę moją i zdradę, on pewnie zasadził się.— Ale nie! nie! Nie darmom wyuczyła się kłamać wzrokiem, mową, śmiéchem i smutkiem wedle potrzeby — stary usnąć musiał w zaufaniu — On nic nie wié! niczego się nie domyśla!

A jednak boję się! O! bo kocham Nawoja, bo kocham go nad życie, bo bez niego żyćbym nie potrafiła—I na mojéj duszy jego życie, bo ja go uwiodłam, ja go sama pociągnęłam z sobą, w tę drogę nieustannych niebezpieczeństw i postrachów. Gdyby nie ja — Nawój spokojnie żyłby jeszcze na Przegini, i nie tułałby się jak zbrodzień kryjąc, i nie złamałby był szlacheckiego słowa.

O! téj duszy tak czystéj, wiele potrzeba było, aby ją skusić na krzywoprzysięztwo, na... On się tém dręczy, więcéj niż niebezpieczeństwem swojém. Widzę na jego twarzy; jak go to uczucie spodlenia suszy

i pali! Często pieszczoty moje, nie mogą wywieść go z ponurych myśli— Często wyrywa mi się, zakrywając oczy i we śnie woła: — Ja krzywoprzysiężca, ona niewierna — Gdzie dwie przysięgi złamane, możeż być szczęście? — Ja słucham i drżę i upajam się chwilą, aby sobie zasłonić przyszłość—O! Stryjowie, stryjowie, strasznąście mi ją zgotowali.

(*chodzi w milczeniu*).

Jednak — gdyby mi wierzyli, po cożby tu siedział ten stary u wrot Zamku, jak pies na łańcuchu nieustannie czuwający? On szpieguje — on śledzi — Ale nic wyśledzić nie potrafi!!

(*Słychać lekkie klaśnienie w dłonie*)

To on, to on!

(*Otwiera drzwi boczne, wchodzi zakapturzony w ciemnéj sukni Nawój.*)

Scena trzecia.

DOROTA—NAWOJ.

DOROTA.

Chodź! chodź mój najmilszy! czekałam na ciebie! Nié ma nikogo!

(*Rzuca się przeciw niemu*).

Nawój.

Nikogo?

Dorota.

Żywéj duszy, prócz téj, która cię nad żywot swój i wszystko na świecie kocha, która drży czekając na ciebie i stygnie z roskoszy, gdy cię zobaczy, gdy się dotknie twéj szaty, gdy głos twój usłyszy.

Nawój.
(*zbliża się do niéj smutnie*)

O! dzięki ci, Doroto, za miłość twoją. Wiele potrzeba, abym zapomniał, że tu być nie powinienem, że dwie przysięgi....

Dorota.

Dla czegoż ciągle mi to powtarzasz?

Nawój.

Bo ukryć nic nie umiem, a ciągle o tém myślę.

Dorota.

Dla czegoż myślisz o tém?

N a w ó j.

Bo cierpię, okropnie cierpię!

D o r o t a.

I miłość nawet moja nie zagłuszy.

N a w ó j.

Głosu sumienia! O! nic w świecie! odzywa się on, nawet z pod twego uścisku, budzi mnie ze snu.

D o r o t a.

Nie mówmy o tém — Siadaj—siadaj koło mnie, powtórz mi lepiéj, powtórz, że mnie kochasz, że ci nie cięży ofiara, którąś uczynił dla mnie?

N a w ó j.

Gdybym cię nie kochał, byłbymże uczynił to, co zrobiłem?

D o r o t a. (*smutnie*).

Gdybyś mnie bardzo kochał, zapomniałbyś ofiary!

Połowa występku na méj duszy, połowa ciężaru na mnie, czemuż ja nie narzekam?

N a w ó j

Nie czyń mi najsroższéj, jaką możesz uczynić, wymówki, nie posłyszysz już więcéj narzekania, zamknę je w sobie.

D o r o t a.

A! dla mnie, gdyby nie postrach jutra, gdyby nie ciągła bojaźń o ciebie, gdyby nie przerażająca twarz tego starca, co jak cień chodzi za mną — nic byłoby chmur na szczęściu — Zapomniałabym żem cudzą żoną, żem spodlona i niewierna.

N a w ó j.

Na Boga, nie mów tych srogich słów przy mnie — Dawno powinienem był swięcąc siebie, uciec, zginąć.

D o r o t a.

I swoją śmiercią, mnie zabić.

NAWÓJ.

Tybyś nie umarła.

DOROTA.

Mogłabym przeżyć ciebie, aby się pomścić za ciebie.

NAWÓJ (*patrzy na nią smutnie*).

O! jak mi cię żal kobiéto!

DOROTA.

Nie użalaj się nademną, taka miłość jak moja, wypłaca się sama — lituj się nad sobą, jeśli jéj nie masz!

NAWÓJ.

Znowu wątpisz!

DOROTA.

Nie! nie! nie wątpię! nie chę wątpić — nadto byłabym nieszczęśliwą.

(*rzuca mu się na szyję*).

O! gdybyś ty wiedział, gdybyś mógł pojąć jak kocham ciebie! Słowa są niczém, przy tém

uczuciu, co mi napełnia biedne, rozkrwawione serce. — Czasem zdaje mi się, że wejrzeniem przeleję w ciebie moją miłość, że ci ją dam uczuć w pocałunku — Ale nie, nie! ty jéj nigdy nie pojmiesz.

Nawój.

Bo czuję żem jéj nie wart.

Dorota.

A! ty siebie nie znasz — Cożem ja przy tobie — Biedna niewolnica, w obliczu Króla.

Nawój.
(*przyciskając ją do piersi*)

Czémże ja przy tobie? Tyś mnie podniosła, uzacniła, wyrwała zapomnieniu i nicości — Wprzód jam nie miał duszy na świecie, coby ku mojéj się skłoniła, nie miałem krewnego, przyjaciela — byłem sługą mizernym.— Tyś mi nagrodziła, całe życie szarych i posępnych dni. Ale czémże mogłem zasłużyć na miłość twoją — Wierz Doroto, sto razy pytałem o to siebie i nie umiałem odpowiedzieć sobie.

DOROTA.

Czém, czém zasłużyłeś na miłość? Ty mnie pytasz? A ktoż piérwszy odezwał się do mnie słowem, co miało dzwięk macierzyńskiego głosu, dla sieroty — Kto piérwszy spojrzał na mnie, okiem ojca, okiem brata. —

Jak ty, ja byłam sierotą opuszczoną, ptakiem co go w klatce na przedaż hodują— Mogłażem nie kochać ciebie, szlachetnego, pełnego litości dla wszystkich, pełnego cnot męzkich; ciebie, coś mi na sobie ukazał piękną stronę nieznanego mi świata.

NAWÓJ.

A jakże kochać mnie możesz teraz? Jam najpodlejszego nie wart kmiecia, bom krzywoprzysiężca.

DOROTA.

Stałeś się nim dla mnie! A! niewdzięczny i znowu wspominasz mi to!

NAWÓJ.

Przebacz, to nad siły moje.

D o r o t a (*smutnie*)

Myślałam że czas, że miłość moja zagoją tę kipiącą krwią ranę — ale widzę, spodziewałam się próżno! Zawszeż tak będzie — zawszeż narzekać tylko będziemy?

N a w ó j.

I lękać się.

D o r o t a.

Lekać się? czego?

N a w ó j.

Nie o siebie, bo což mogę stracić, gdy czci już nié mam — ale o ciebie Doroto — Jesteśmyż tu pewni, pod okiem Żegoty — nie wyśledząż słudzy mojéj bytności, naszych schadzek?

D o r o t a.

Uśpiłam Żegotę kłamstwem! O! kosztowało mnie to nie mało! Alem go ukołysała. Wierzy mi — poczęłam inaczéj się z nim obchodzić, prawie mu ulegać, a przy-

najmniéj łagodniéj do niego przemawiać; o Ottonie wspominać—Stary myśli, że jak każda niewiasta, przywykłam do mojego jarzma i tęsknię za niem.

N a w ó j.

Zle znasz starego.

D o r o t a.

Ty znaszże go lepiéj?

N a w ó j.

Zdaje mi się. Stary Żegota powtarza nieustannie przysłowie: koniowi, psu i kobiécie nie wierz nigdy. A kto wié, czy nagła zmiana w tobie, nie napędziła mu myśli do głowy—?

D o r o t a.

Nadto go czynisz podejrzliwym—Gdzież zresztą powody podejrzliwości? Mogąż się domyślać twojego powrotu, mój miły?

N a w ó j.

Kto wié!

Dorota (*zrywając się*).

A ty! a ty! może wiesz co, może taisz przedemną? Mów, mów na Boga — ulituj się.

Nawój.

Przysięgam ci — ja nic nie wiém.

Dorota.

Okropnieś mnie przestraszył! Ja ręczę że stary nié ma podejrzeń — Ze sług nikt nie wié o tobie, nikt cię więc nie wyda— Jedna Jadwiga może się czegoś domyślać, ale ona — ona mnie nie wyda.

Nawój.

Ona wié wszystko?

Dorota.

Nie — domyślać się chyba może — Bądź spokojny.

Nawój.

O! o siebie się bynajmniej nie troszczę.

D o r o t a.

Bądź spokojny o mnie—Coż zrobić mnie mogą straszniejszego nad rozdzielenie nas. (*rzuca mu się na szyję*).

N a w o j (*zrywając się*).

Słyszysz?

D o r o t a.

Nie —

N a w ó j.

Czyjeś kroki, tam podedrzwiami.

D o r o t a

(*biegnąc ku drzwiom daje mu znak, aby uszedł Nawój kryje się za drzwi, któremi wszedł. Pukają do drzwi.*)

Kto tam?

Głos za drzwiami.

To ja?

D o r o t a (*oglądając się.*)

Kto?

Głos za drzwiami.

Otwórzcie, jeśli można.

DOROTA.

Głos Żegoty — miałżeby mnie podejrzewać? — Zaraz.

(*odmyka rygiel*).

Scena czwarta.

ŻEGOTA — DOROTA.

ŻEGOTA.

ogląda się wchodząc podejrzliwie — Dorota wlepia oczy w niego.

Dla czego drzwi były zaryglowane?

DOROTA.

Bom chciała być sama.

ŻEGOTA.

Niktby i otwartemi bez pozwolenia waszego nie wszedł.

DOROTA. (*zimno*).

Bezpieczniej jednak zamknąć.

Żegota (*spogląda na nią*).

Na waszéj twarzy znać niepokój—pomięszanie?

Dorota.

Widzicie je od czasu, jak mnie znacie a piérwszy raz dziwicie się im — Niepokój łatwo wytłumaczyć—pomięszania nie czuję.

Żegota.

Miałażbyś niepokoić się o męża?

Dorota.

Jak się wam zdaje?

Żegota.

Radbym żeby tak było.

Dorota.

Myślcie więc że tak jest.

Żegota (*przechodzi się po izbie*)

Od niejakiego czasu, tak wielką i pożądaną widzę w was odmianę, że zaledwie śmiém jéj wierzyć.

DOROTA.

Doprawdy??

ŻEGOTA.

Szczęśliwy Otton na miejscu upartego dziecka, zastanie więc z upragnieniem oczekującą go małżonkę.

(*Dorota milczy*).

ŻEGOTA.

Wszak prawda?

DOROTA.

Lepiéj wy się znacie na ludziach; a gdyście tak osądzili....

ŻEGOTA.

Możem się nie omylił — Jam się tego zawsze spodziéwał po was, i po poczciwéj krwi, co w żyłach twoich płynie — nie powinienem się był omylić — Trochę spokoju, rozwagi, czasu, a burzliwe dziécię, musiało na zacną wyrosnąć niewiastę —

Wy pokochacie Ottona, szlachetny, odważny, silnéj woli i męzkiego charakteru to człowiek.

Dorota. (*żywo*).

Umiałam go ocenić —

Żegota.

Nie prawdaż? I nie każda oceni go niewiasta, bo to nie młodzik, co miękkiem śpiewem rozkołysze jéj serce; co potrafi jéj opowiedzieć dzieje jakichś tam zamorskich Królewien, i Królewiców — człowiek to czynu, silnéj prawicy, a serce jego za trojgiem żelaznych blach — choć zabije, nie poczujesz go pod stalą.

Dorota.

Prawda, nigdym go bijącego nie poczuła.

Żegota.

Nigdy łzy na oku, nigdy miękkiéj litości, coby o słabość dozwoliła posądzić. Dobroczynny i szlachetny, czyni to z serca,

ale nie pokazuje, że czuć umie litość, że drgnąć może współczuciem — Wszystko jest w nim, ale to tylko na wierzch wychodzi, czemu on się ukazać dozwoli.

DOROTA.

Tak, że reszty ledwie się domyślać można.

ŻEGOTA.

O! ocenicie go niegdyś; a być małżonką takiego męża zaszczyt wielki! szczęście wielkie — W dojrzalszym wieku je ocenicie.

DOROTA.

Mało go tak widzę, dziwnoż że nie poznałam lepiéj dotąd?

ŻEGOTA.

Ani Otto, ani żaden z nas nié ma czasu prząść u kolan białogłowy. Choćby jego serce było w domu, on musi być w polu. Żonie dóm i dzieci, jemu bój, jemu krwawa praca, jemu walka na granicy — niewczasy, rany.

DOROTA.

Wiém, wiém, stryju — Ale kto wié co lżéj i snadniéj, czy mrzeć u domowego komina za kądzielą, w strachu, oczekiwaniu, tęsknocie, czy walczyć, gonić i pędzać za Tatarami w polu?

ŻEGOTA.

Tobie się trzeba było urodzić mężczyzną?

DOROTA (*smutnie*).

Wszystko to jedno, zawszebym była sierotą.

ŻEGOTA.

Teraz już przynajmniéj nie mówcie o sieroctwie, mając męża.

DOROTA.

Daj Boże, abym kiedykolwiek zapomnieć mogła o sieroctwie.

ŻEGOTA.

Zostawszy matką.

Dorota.

Ja! matką!

Żegota.

Prosimy o to Boga, dóm nasz potrzebuje potomków — Otto stary, nas dwóch mamy tylko po jednym synu, a każdy z nas codzień głowę swoję niesie pod nieprzyjacielską szablę! Pocieszycie nas może, dobrą wieścią i powitacie Ottona miłą nadzieją potomka.

Dorota.

Mówicie o powitaniu — alboż się go spodziéwacie rychło?

Żegota.

Nié mam wieści, ale wedle mojéj rachuby jużby wrócić powinien. Zima za pasem, wyprawa skończyć się musi, a gdyby nie wracali wszyscy, jestem pewien, że on, choć na czas krótki do was zawita.

Dorota.

Prędko?

ŻEGOTA (*uśmiechając się*).

Pojmuję niespokojność waszą—Ale trudno mi wam obiecywać, kiedy nic nie wiém.

DOROTA.

Wy pewnie nic nie wiecie?

ŻEGOTA.

Po cożbym przed wami taił?

DOROTA.

Zapewne, do tego i ja powodu nie widzę.

(*wychodzi powoli*).

Scena piąta.

ŻEGOTA (*sam*).

Niepojęta kobiéta—Głowę łamię, aby ją zbadać i poznać, a im dalej brnę, tém mniéj znam ją, zda mi się podobno przyjdzie powrócić do piérwszych wyobrażeń o jéj charakterze, bo mi się widzi, że terazniejsza łagodność, powolność—wszystko to są tyl_

ko na kogoś zastawione łapki. Odpuść Boże, to podejrzenie, jeśli napróżno! — Radbym się omylić, ale sam nie wiém, czemu mnie widok jéj, rozmowa z nią, niespokojnością nabawiają. Im jest łagodniejsza, im coraz bardziéj inna, ja się bardziéj lękam. Takie kobiéty jak ona, nie łatwo się zmieniają!! Biédny Otto, sam na wyprawie, a mnie starcowi, polecił straż żony. Coż ja tu dojrzéć mogę, jak dopilnować niewiasty, w któréj łonie, co się dzieje, jeden Bóg wié, a ona druga!

A od niejakiego czasu uśpiła mnie do reszty i rozbroiła, tak bardzo złagodniawszy—To nie jest bez celu! Wielce szczęśliwem byłoby, gdyby to być miała prawdziwa zmiana. Daj Boże— Boję się jednak.

Scena szósta.

Bartosz wybiega nagle ze drzwi głównych, nie widząc Żegoty, mówi sam do siebie, żywo i wyrzucając rękoma.

BARTOSZ — ŻEGOTA.

BARTOSZ (*do siebie*)

Nigdy spoczynku, nigdy odetchnienia a za pracę, daj go katu — tylko połajanki

odnosić! Już mi też kością w gardle stanęła ta służba! O! nie tak to bywało, nie tak, za starego Pana! Ba! — Co młode, to szalone, a nam się z niémi nie pogodzić! I nie ten dóm i nie to już ze sługami obejście i zupełnie taki świat do góry nogami!

Gdzieś tam jeszcze podobno, człek ma zagon ziemi swój własny, — plunę i porzucę cudzy chleb, co mi już kamieniem stał na stare zęby — Nie chcę służyć w tym domu! Pani młoda, dziwaczka, ludzie jéj pomagają dziwaczyć, a ten stary....

Żegota.

Cóż tam powiesz o mnie —

Bartosz (*uderza się po policzku*)

O! do diaska — o małom —

Żegota.

Kończcie śmiało.

Bartosz (*kłaniając się do kolan*)

Z pozwoleniem Waszéj Miłości, to się gadało —

Żegota.

Z serca, widzę — kończcież, coście tam o starym chcieli powiedzieć.

Bartosz.

Do drugiego razu.

Żegota.

Mów śmiało, mój kochany.

Bartosz (*ogląda się*)

A jak....

Żegota.

Nié ma nikogo; wszakże to o mnie tylko miała być mowa.

Bartosz.

Chciałem, powiedzieć, chciałem powiedzieć, żeście W. Miłość ślepi.

Żegota.

Jak to?

BARTOSZ.

Bo kiedy ja poczynam coś przeglądać, toć wy, co to pono, nie darmo tu jesteście, dawnobyście całkiem widzieć powinni.

ŻEGOTA.

Ale cóż?

BARTOSZ.

Otóż to, że nie wiém co, a coś jest.

ŻEGOTA.

Cóż przecie?

BARTOSZ.

Pani nie swoja.

ŻEGOTA

Kiedyż ją inną widziałeś?

BARTOSZ.

Wielka w niéj zmiana, a Boże mi odpuść, widzę jakąś tajemnicę koło niéj — Całe dni sama jedna, zamknięta przepę-

dza — Komnaty niektóre pod jéj kluczem i nikomu do nich wchodzić nie wolno.

ŻEGOTA (*żywo*).

Gdzie! jakie?

BARTOSZ (*wskazuje na prawo*).

Ot, tamte — Poźno w noc światła czasem w nich widać — Cień jakiś miga na oknach. Probowałem pytać i zostałem zbezczescony, złajany.

ŻEGOTA. (*gniewny.*)

Ale ja przecię spytać, ja zobaczyć mogę! Ja, com był ślepy, com się dał uwieść jéj mniemanéj łagodności! O! to potwora! Ona nas zdradza, ona tu kogoś ukrywa! Wszystko jest podobném — Idę.

BARTOSZ.

Na Boga wstrzymajcie, trzebaby przynajmniéj wiedzieć nieco więcéj.

ŻEGOTA.

Pójdę, rozkażę sobie dać klucze — spytam jéj —

BARTOSZ.

A tym czasem ktoś ten ucieczce — i ona nic nie powie odfuknąwszy się tylko po swojemu.

ŻEGOTA.

Jużciż nie pójdę szpiegować.

BARTOSZ.

Pozwólcie mi tylko, rozkażcie, a ja pójdę.

ŻEGOTA.

A klucze —?

BARTOSZ.

Znajdziemy.

ŻEGOTA.

Idź więc nie bawiąc.

BARTOSZ.

W razie złego, polecam się Waszéj Miłości, aby trzaski na mnie nie padły.

Żegota.

Idź, idź, i niczego się nie lękaj—Nagrodzę cię nawet.

Scena siódma.

Żegota.

Znowu więc niepokój — podejrzenia — Kto wié, może krwi rozlew się gotuje! Ale ktożby się tu mógł ukrywać? Jużciż nie Nawój! Znałem Nawoja, służył pod naszym znakiem, poczciwy szlachcic i słowaby danego nie złamał. Miałażby wszetecznica, tak prędko znaleść drugiego kochanka? Wszystko to do niéj podobne — A jam się tak łacno i prędko dał uwieść kilku łagodniejszym wyrazom! Starym, stary, i nie moja to rzecz kobiéty pilnować, a jeszcze takiéj jak ona, któréjby pono i Anioł nie ustrzegł.

(zamyśla się).

Scena ósma.

P. JANOWA z JADWIGĄ. ŻEGOTA.

Żegota.

W sam czas nadchodzą, popytam ich

ostrożnie, obaczę, czy się nie zmięszają. Słuchajcieno Pani Janowa.

P. Janowa.

Słucham Waszéj Miłości, co rozkażecie.

Żegota.

Od czego zacząć —? — Hm! odprawcie córkę naprzód.

P. Janowa.

Właśniem ją przywiodła, aby się Waszéj Miłości o przyszłem jéj za mąż pójściu poradzić.

Żegota.

Będzie na to czas.

(*Jadwiga na znak matki wychodzi*).

Słuchajcie — powiedźcie mi naprzód, komuście tu więcéj winni i do kogo więcéj przywiązania macie — do nas, czy do Pani waszéj?

P. Janowa.

Wszystkim równiem wdzięczna — i równie szanuję, Waszą Miłość, pana mego i panią.

Żegota.

Przecięż komu więcéj macie wdzięczności?

P. Janowa.

Dla czegoż to dzielić i ważyć?

Żegota.

Widać, że jest tego potrzeba.

P. Janowa.

Miły Boże, na takie zapytanie wcalem się nie przygotowała!

Żegota.

Porachujcie się z sobą.

P. Janowa.

Nie ujmując nikomu — jeśli mam tak szczérze powiedzieć W. Miłości — Boże odpuść nie wiém doprawdy co powiedzieć.

Żegota.

Cożeście mówić chcieli?

11*

P. Janowa.

Sama nie wiém — Kocham bardzo moją wychowankę — Szanuję was bardzo, ale od dzieciństwa wypiastowawszy ją —

Żegota.

To dość — Idźcie sobie.

(*P. Janowa z podziwieniem pogląda na Żegotę.*)

Idźcie sobie!!

P. Janowa

Idę — Nie pojmuję co mu jest — Coś zaczął, urwał i nie skończył! Czegoś chciał się dopytać. Coś to jest, pójdę do Pani! (*wychodzi.*)

(*Bartosz wchodzi dając znaki*).

Scena dziewiąta.

ŻEGOTA—BARTOSZ.

Bartosz.

Byłem —

Żegota (*pogląda nań surowo*).

Mów i nie trzymaj mnie w niepewności!

Bartosz.

W tamtych izbach, zamknięty jest — mężczyzna — młody, przystojny.

Żegota.

Milcz! dosyć! milcz, ścianyby posłyszéć mogły o sromocie naszego domu. Milcz, dosyć mi tego coś powiedział, a pamiętaj, że jeśli twój język raz jeszcze w życiu powtórzy to, coś mi powiedział, jeśli pół słowem, znakiem, uśmiéchem, milczeniem, dasz się komu domyśléć tego — przybiję ci ten język ćwiekiem do czaszki, aby się więcéj ruszyć nie mógł. — A teraz prowadź mnie.

(*bierze miecz ze ściany*).

Bartosz.

Panie! sami iść myślicie?

Żegota.

Czemu o to pytasz?

BARTOSZ.

Wy i ja starzy — on młody —

ŻEGOTA.

— Musim go zabić sami. Nie potrzeba aby ktokolwiek bądź wiedział o tém. Zabijem go sami, sami krew zmyjem, sami pogrzebiem — Żywa dusza nie powinna wiedzieć o tém.

BARTOSZ.

Ale mogą — krzyk posłyszéć — krew zobaczyć?

ŻEGOTA (*myśli*).

Prawda! W takim razie zabiję ciebie, aby na szyję niewiernego sługi, włożyć ten krzyk i krew. Nikt wiedzieć nié ma o naszéj sromocie.

BARTOSZ.

Ale jam niewinny!

ŻEGOTA.

Zapłacim dzieciom za krew twoją. — Chodź! Słyszysz! Tędy —

BARTOSZ (*chce się wymknąć*).

Wnet, wnet — idę za wami — Wnet.

ŻEGOTA (*popycha go*).

Przodem, powoli, za piérwszym krokiem do ucieczki, przebiję cię —

Scena dziesiąta.

Słychać oddalających się — Dorota wchodzi powoli, przeciwnemi drzwiami.

DOROTA

On ma wrócić! Żegota pociesza mnie jego powrotem! Wrzucił mi tę myśl w moje szczęście, jak żmiję do kosza kwiatów i owoców Kleopatrze — On ma powrócić.— To jedno co powiedzieć: Nawój uciec będzie musiał, a ja — ja usychać, ja płakać i dręczyć się.

(*otrząsa się*).

Ale na co myśléć o tem? Na co się smucić przed czasem — Kto tam wié co przyjdzie, co będzie, a tym czasem wieczór mój, noc moja, ranki moje! A! dni nie moje! My dnia białego boim się, jak złoczyńcy!

I znowu myśl smutna, nigdy się jéj opędzić nie można! — Ale ja chcę być wesołą — koniecznie! — Chcę myśléć o mojem szczęściu, cieszyć się niem, aby je podwoić, potroić — jak dziécię, co słodki kęsek po odrobinie zjada, by mu na dłużéj wystarczył.

Nadejdzie wieczór — światła zgasną, my usiądziem tu, razem przy kominie i będziemy opowiadać sobie naszą przeszłość, marzyć o przyszłości — Nawój mi zawsze mówi o szerokim świecie, na któryby uciec można.

(Słychać jeden krzyk i mocne uderzenie o podłogę. Dorota porywa się, bieży, słucha.)

Co to jest? Co to jest?

(słucha).

Przysłyszało mi się! Zdało? Byłoż to

tam? Czy tu? W téj stronie?—Coby to być mogło? Może on—może chory, może jakie nieszczęście.

(*Zamyka drzwi na klucz, główne, i bieży otwierać na prawo.*)

Scena jedenasta.

Żegota wchodzi spokojnie, ocierając plamę na rękawie lewym—i spotyka Dorotę, która załamuje ręce i staje w rozpaczy i osłupieniu.

DOROTA.

Ty! tam byłeś.

ŻEGOTA.

Milcz wszeteczna! Wiész po com tam chodził i jak wracam, nie hańb siebie i nas—milcz.—Pięknieś dochowała wiary mężowi, pięknie on dotrzymał przysięgi! Ale zdrajców Bóg karze, jego śmiercią—ciebie zgryzotą i sromotą we własnych oczach.

Dorota.

Człowiecze! na Boga cię zaklinam, odwołaj coś powiedział!

Żegota.

Milcz kobiéto i idź płakać gdzieindziéj aby łez twoich sromotnych, oczy ludzkie nie widziały. Nie hańb nas, kiedy zhańbiłaś siebie — Idź gdzieindziéj ze łzami i wyrzekaniem.

Dorota.

(*wbiega do drzwi na prawo, spogląda i cafa się*)

Żegota.

Widziałaś, więc dość ci — idź ztąd?

Dorota.

Widziałam! o! widziałam i nie wiém jak żyję jeszcze — O Boże! daj mi życie na zemstę, na karę zabójcy.

Żegota.

Nie bluzń i milcz.

DOROTA.

Ja milczeć! ja milczeć — A dla czegoż milczeć teraz będę, czego oszczędzać— Mojéj sławy? waszéj sławy? Imienia waszego, dla którego poświęciliście mnie na ofiarę?

ŻEGOTA.

Kobiéto—wstrzymaj język! Ten krzyk—

DOROTA

Ten krzyk umyślnie wznoszę, aby zwołać ludzi, zwabić kto żyw, aby wszyscy widzieli, dowiedzieli się, o mojéj hańbie, o sromocie domu waszego! To moja jedyna zemsta— pójdę, pobiegnę —rózpowiém, rozgłoszę, zesromocę się.

ŻEGOTA.

Jeszcze raz — milczeć kobiéto.

DOROTA.

Ty, milcz starcze, ty milcz zabójco!—

Ja będę wołać pomsty ludzi i pomsty nieba na was, a póki głos w piersiach, póki życie we mnie.....

(*zastanawia się*).

Słuchaj — Kochałam jednego — teraz kochać będę wszystkich — teraz pójdę na rozstajne drogi wołać, żem Tęczyńska i wabić miłośników, i tarzać się z nimi, jak najpodlejsza z niewiast — Porzucę męża, ucieknę z piętnem hańby — tułać się będę, rozpowiadając u wrót każdego Zamku, po rynkach miast, po wsiach, sromotę moję, hańbę waszą.

ŻEGOTA (*zimno*).

Potrzeba ją zabić.

(*Słychać stukanie do drzwi*).

Dorota rzuca się i otwiera je.

DOROTA.

Chodźcie, chodźcie, słuchajcie! patrzajcie — !

Scena dwunasta.

P. Janowa, Jadwiga — Słudzy, Giermek we zbroi — rzucają się na salę.

ŻEGOTA, DOROTA, P. JANOWA, JADWIGA, GIERMEK, SŁUDZY.

P. Janowa.

Nieszczęście! nieszczęście!

Żegota.

Co wam jest?

Giermek.

Przyszedłem ze złem poselstwem?

Dorota (*podbiega*).

Ze złém powiadasz! Mów co się stało? Mów.

P. Janowa.

Biédna Pani!

Żegota.

Mów — zkąd przybywasz. — Ty byłeś z Ottonem.

Giermek.

Byłem z nim — Otto zabity — ciało jego przywiozłem.

Dorota *(w szaleństwie)*.

Zabity — a ja wolna!

Żegota.

Wdowa, ale nie wolna — Na Boga, jeśli nie chcesz umrzéć, milcz kobiéto!

Dorota.

Jakiém prawem na moim Zamku nakazujesz mi milczenie?—Jam wdowa i wolną jestem.

Żegota.

Póki żyjesz, wolną nie będziesz.

Dorota.

Tak myślicie! A ja wiém, ja czuję, żem wolną — że się pomszczę! Wiesz jak się pomszczę — wiész! Mówiłam ci i dotrzymam — Nie włożę wdowiego czépca, nie siądę na stolcu wdowim — Patrz Żegoto! *(rzuca się na szyję Giermkowi)*. Oto mój kochanek — Dziś biesiada na Zamku i wesoła stypa—Jutro jadę do Krakowa, aby mieć więcéj świadków sromoty.

Ż e g o t a (*cicho*).

Jeśli dziś nie umrzesz!

(*głośno*).

Oszalała z żalu! Biedna oszalała ustąpcie — ustąpcie!

(*odpycha ludzi. Dorota pada wysilona na ziemię*).

Koniec Aktu III-go.

AKT IV.

Teatr wystawia wielką komnatę w kamienicy na rynku krakowskim. Słychać szum i wrzawę miasta pod oknami. W komnacie drzwi troje, komin, nad nim staroświeckie zwierciadło, ławy pokryte kobiercami, ściany obite makatami. Dorota strojna wytwornie.

DOROTA

(sama zrzucając z głowy ubior okryty manelami, sznurami pereł i świecidłami, pada na siedzenie bezsilna.)

O! to okropnie, nie do wytrzymania, jedno tylko pragnienie zemsty, może dać siły,

na tak straszne z siebie ofiary — Ja zemstą tylko żyję — ona mnie trzyma!! — Ale to prawie nad siły moje, nad kobiece siły, nad ludzką możność, udawać płochą, udawać rozmiłowaną, rozpustną — gdy w sercu rozpacz, żałoba nie utulona, łzy krwawe. — I oczyma, usty, słowy kłamać potrzeba, kłamać tak dziwnie — wesołość, obojętność, kiedy człowiek cierpi męki piekielne.

O! nie wiém jak dłużéj wytrzymać, sił mi braknie, upadam pod ciężarem mojéj zemsty — Gdybym choć wiedziała, że ich to boli? gdybym posłyszała krzyk boleści, jęk zgrozy, a! — toby mi nowych sił dodało — Ale nie — oni nadto są dumni, nie okażą bolu —! Zaprawdę jednak w najboleśniejsze raniłam ich miejsce— w ich czczone, szanowane, pielęgnowane wieki i ukrywane od pyłu, od plamki imię! Zesromociłam imię przodków ich, w oczach wszystkich — Cały świat widział mnie szalejącą ze sługami w tę pamiętną noc, kiedy Ottona trup leżał nie pogrzebiony, w pustéj sali Zamku na Przegini — Cały świat widział wdowę, bez wdowiego czepca, bez łez wdo-

wich, bez wstydu wdowiego, skaczącą wesołe tany, z tłumem pijanéj chałastry — Wszyscy to widzieli — wszyscy!

Ale to mało jeszcze było dla mnie — Przybyłam do Krakowa, aby mnie więcéj oczu widziało, więcéj uszu słyszało, aby tysiące ust powtarzało, o każdym szalonym Tęczyńskiéj postępku. Przywiodłam tu z sobą tego człowieka, którego nazywam kochankiem — Wszyscy wiedzą że nie szlachcic, wiedzą że podły, nikczemny — Jam go wybrała za kochanka dla sławy imienia Tęczyńskich, jam go ustroiła w bogate suknie, dała mu dwór, ludzi, konie, pieniądze, aby pijany, szalony, roznosił moję niesławę po mieście, po kraju — po świecie!

O sroga, o okropna męko!

(zakrywa oczy)

Bezcześcić się dobrowolnie — i z odrazą rozmyślnie, bez przymusu, cisnąc do serca tego, od któregoby się chciało odkupić śmiercią!! — O! jakież życie, jakie życie zrobiliście mi przodkowie moi, krewni moi — Słów nie staje na wypowiedzenie, trudno

o wiarę u ludzi — gdybym się im wyspowiadała z tego, co czuję!

Może już dosyć tego udawania, téj męki i zemsty — może już dosyć! Nie — nie, pokazałoby się jawnie, żem udawała! Ja tego nie chcę — Muszę być taką, jaką poczęłam — do śmierci!

Scena druga.

DOROTA, JADWIGA *po cichu wchodzi ze drzwi lewych.*

DOROTA (*podnosząc głowę*)

Kto tam? — A! to ty Jadwigo — jestem zmęczona, chora, idź sobie.

JADWIGA.

Może wam czego potrzeba?

DOROTA.

Spoczynku!

JADWIGA.

Wszakże go sami odpychacie.

DOROTA.

Bo taka wola, takie pragnienie moje.

JADWIGA (*po cichu*).

Chcecie spoczynku—a jedziecie do Krakowa, a zbieracie uczty i spieczonym ustom, nie dajecie ochłonąć — zamknąć się powiekom! A! Pani! Ja cię kocham, ja cię z serca i duszy całéj kocham — Dowodem mojego przywiązania, żem cię dotąd nie opuściła.

DOROTA.

Nie chcę ofiar — porzuć mnie, kiedy ci się podoba.

JADWIGA.

Boleśnie mi zakrwawiacie serce — O! tak dawnobym powinna o sobie tylko myśląc, porzucić ciebie—ale gdy tylko pomyślę o tém, płaczę i nie mogę się zdobyć na siły. Droga Pani—! Czyż takie jak twoje życie przystało wdowie i wdowie po Tęczyńskim?

Dorota (*żywo*).

Prawda! prawdaż, że sromotne wiodę życie?

Jadwiga.

Wy? — ja—nie mówiłam tego — tylko....

Dorota.

Mów śmiało, prawdaż to?

Jadwiga.

Niestety — trzeba wyznać....

Dorota.

Cieszę się z tego —

Jadwiga.

Ja was nie pojmuję.

Dorota.

I nikt mnie nie pojmie!

Jadwiga.

A jednak — wyście smutne, cierpiące — Gdybyście przynajmniéj ofiarą tego obłąka-

nia i szału, kupili sobie szczęście — wesołość — ale tak nie jest?

D o r o t a.

Kto ci powiedział?

J a d w i g a.

Alboż mi to mówić było potrzeba! Ja widzę sama, widzę codzień co się z wami dzieje — Nie zapomnieliście ani Nawoja.

D o r o t a.

Nie wspominaj go.

J a d w i g a.

Ani Ottona.

D o r o t a.

Drugie nienawistne mi imię.

J a d w i g a.

Często, bardzo często po szalonéj biesiadzie, wam łzy płyną, wy wzdychacie, słyszę wasze jęki.

DOROTA.

Nie mogłaś ich słyszeć, bo to fałsz — to fałsz! Ja jestem szczęśliwa, zupełnie szczęśliwa — ja niczego nie pragnę więcéj i o wszystkiem zapomniałam. — Codzień rano zbudzić się z myślą zabaw, swawoli — z nią usnąć — codzień nowego mieć kochanka, codzień w nowym kręcić się wirze — I nic więcéj! i nic więcéj!

JADWIGA.

A! wy to mówicie gorąco, ale nie z serca.

DOROTA.

Byłażeś w mojém sercu?

JADWIGA (*smutnie*).

Dawniéj, nie teraz.

DOROTA.

Dawniéj i zawsze, poczciwa Jadwigo, ale nigdy tajemnic tego serca nie znałaś i znać nie będziesz — bo żaden żywy człowiek nie powinien wiedzieć że....

(*poprawia się*).

Bo to serce — nie ma tajemnic.

JADWIGA.

Bodajby ich nie miało!

DOROTA.

Proszę cię, nie puszczaj się w domysły, one cię zgubią. Chcę spocząć — odejdź — chcę spocząć.

JADWIGA.

Idę —

Scena trzecia.

DOROTA (*sama*).

I ona się domyśla! Nie umiém więc dość dobrze udawać szczęścia—O! to zle— to zle — potrzeba więcéj namiętności, więcéj jeszcze szału, więcéj jeszcze rozpusty— Ja tego nie zniosę długo, to mnie zabije— Tém lepiéj — bylebym do śmierci wytrzymała' być taką, jaką jestem, bylebym cios śmiertelny, plamę niezmazaną zadała niezawistnemu imieniu —

Ktoś idzie — To on, to pewnie on! Nieszczęśliwa! Tak prędko — tak prędko! (*ogląda się niespokojnie*).

Scena czwarta.

DOROTA—JANKO GRZEBIEL *pijany* — *Posuwa się ku niéj uśmiéchając. Suknie na nim bogate, w nieładzie, oplamione, kréza rozdarta.*

JANKO.

Ha! ha! otoż mnie masz, moja najdroższa gołąbko — Otoż mnie masz.

DOROTA. (*srogo*)

Jakże to przychodzisz do mnie?

JANKO.

Jak to? jak—?

DOROTA.

Powinieneś się był wytrzeźwić wprzódy gdzie w kącie.

JANKO (*siadając*).

Hę? Co mówisz gołąbko?

DOROTA. (*żywo*).

Smiesz mi się pokazywać pijany?

Janko.

Hę ? między małżonkami, nié ma tych ceregielów.

Dorota.

Powinieneś pamiętać, żeś nie małżonek i pan mój, ale sługa.

Janko.

A! sługa! Ale między sługą a sługą, jest różnica — a mnie się zdaje zawsze, że jeślim nie małżonek jeszcze, to nie daleko od tego.

Dorota (*z pogardą*).

O! daleko!

Janko.

I co tak bardzo złego, żem pijany, że powracam do domu, trochę weselszy — Wszakże mi na to dajesz, abym hulał.

Dorota (*do siebie*).

O! i to potrzeba wytrzymać.

Janko.

Byłem właśnie pod smokiem, z dobrymi przyjaciółmi, piliśmy od północka do tego czasu, natłukli puharów, nabili mieszczan i Żydów i naśpiewali pieśni! O! co wesoło było, to wesoło!

Dorota.

Możesz mi tego nie opowiadać.

Janko.

Owszem, gołąbko, owszem—Za twójżeto miły grosz i za twoje zdrowie piliśmy! Bóg zapłać, za miłość i za pieniądze.

Dorota (*na stronie*)

Szkaradne bydlę.

Janko.

Co ty tam szepcesz — gołąbko? I czego tak uciekasz odemnie — Jabym cię właśnie teraz chciał uścisnąć, bo mi serce dobrze bije i takaś mi ładna, jak Królowa.

DOROTA.

Milcz!

JANKO.

Dalipan nie pojmuję cię gołąbko! Jak przy ludziach tobyś mnie zjadła całusami, to mi się na szyję rzucasz, to ściskasz, to na kolanach mi siadasz, a bylebyśmy sami byli, chmurną twarzą i nie dobremi słowy mnie odpychasz! Ja tego nie rozumiem.

DOROTA.

I nie probuj zrozumiéć—Dobrze ci z tém co masz, nie pytaj o więcéj—a nie, to precz.

JANKO.

Precz! precz! A jakbym poszedł, tobyś dopiéro zaryhotała.

DOROTA.

Oszaleję!

JANKO.

Ot chodź, usiądź przy mnie i pocałuj twojego Janka!

DOROTA.

Będziesz ty milczał?

JANKO.

Hę? A co to tobie gołąbko? Czyś ty już Janka zapomniała, czy nie poznała! Dosiu — Co to tobie!

(*Dorota chce odejść*).

JANKO (*rzuca się ku niéj*).

I już uciekasz! Ale ja nie chcę żebyś szła!

DOROTA.

Co to ma znaczyć — nie chcę?

JANKO.

To ma znaczyć, że ciebie mi trzeba!
(*chwyta ją w pół.*)

DOROTA.

Precz! to ostatni raz dotykasz się mnie.

JANKO.

Hę! oszalała czy co! A co ty poradzisz bez Janka?

DOROTA.

Stu znajdę w błocie ulicznem, lepszych od ciebie.

JANKO.

Co ona mówi — ?

DOROTA.

Idź precz odemnie.

JANKO.

Ty chyba żartujesz sobie! Hę! miałżeby ci się już uprzykrzyć Janko? E! to być nie może, nie wierzę — nie! nie wierzę! Pocałuj mnie!

DOROTA.

Każę cię wyrzucić nagiego na ulicę, jeśli się mnie dotkniesz!

JANKO.

Co! to taki doprawdy! No! To jak chcesz!

(*rzuca się w krzesło*).

Boże mnie skarz, jeślim kiedy widział dziwniejsze stworzenie. I mówi, że mnie kocha i miłuje, i przy ludziach mało mnie nie zje — Zwyczajnie Pani! U nich to wszystko nie po ludzku, i miłość nie ludzka — i... (*ziewa*).

(*Dorota chce odejść*).

Czyż taki koniecznie ci się chce odejść? E! moja gołąbko zostań, a ułagodź się — Zkąd tobie to dziwactwo — Tożem to ja — ja — Janko twój —

Dorota. (*gorzko*).

Prawda!

(*spogląda na niego szydersko*).

Prawda!

Janko.

A! widzisz że prawda!

Dorota.

Janko! Janko! kochanek Doroty z Tęczyna — Janko sierota bez imienia, dziécię bez rodziców, dziécię sromoty, do którego

ojciec i matka nie przyznali się — Janko żebrak uliczny, Janko rozpustny włoczęga.

Janko.

I po co to przypominać!

Dorota.

Janko — kochanek Doroty z Tęczyna! Czy ty przynajmniéj chwalisz się wszędzie swojem szczęściem, czy obwołujesz je, czy głosisz, czy powiadasz kim jesteś i kto cię kocha?

Janko.

Po trzezwemu to się boję, ale po pijanemu kto go tam wié, co ślina do gęby przyniesie. Już mnie moi towarzysze inaczéj nawet nie zowią, jak Jankiem Teńczyńskim!

Dorota.

To dobrze!

Janko.

Hę? nie gniewasz się gołąbko? — (Już się humor odmienił — Otoż to kobiéta!)

D o r o t a

A masz ty pieniądze jeszcze?

J a n k o (*maca po wacku.*)

Hę!—Oj, nie ma podobno! Lekko przychodzi, lekko idzie — piło się całą noc i w kości grało, musieli mi wszystko wziąść.

D o r o t a (*rzuca mu worek*).

Na — masz więcéj — nie żałuj. A gdy będziesz płacił, pokaż na worku wyszyty Topor, to herb Tęczyńskich.

J a n k o.

Dziękuję — dobrze.

D o r o t a.

A w nocy przyprowadź tu wszystkich towarzyszów swoich, kogo złapiesz na ulicy, i przyjdźcie tu — A idąc hałasujcie w ulicy, aby wszyscy was słyszeli, aby widzieli wszyscy.

J a n k o.

Czego ona tak chce się chwalić Jankiem?

Scena piąta.

DOROTA — JANKO. *Drzwi w głębi uchylają się powoli, widać Żegotę — Dorota postrzegłszy go, rzuca się na szyję Janka.*

Dorota.

O! niech cię uścisnę mój miły!

Janko.

Hę! hę! Pókim prosił, nie było sposobu uprosić — teraz kiedybym się może zdrzémał, przyszła jéj ochota do uścisków.

Dorota. *(głośno, żywo).*

Albożty nie wiész, jak ja kocham ciebie, nie wiész jakeś mnie miły — Drogi mój, najdroższy, złoty mój Janko!

Janko.

Patrzajcie! Pewnie już ktoś jest w izbie, kiedy ona tak mnie pieści.

(ogląda się)

A zdaje się nikogo nié ma.

DOROTA.

Pozwól, niech ci rozepnę uciskający szyję kaftan — niech zdejmę te suknie — ty potrzebujesz spoczynku — jesteś zmęczony.

JANKO.

E! co bo robicie.

DOROTA.

Cisną cię buty — kochany mój Janko — daj mi nogę — ja cię od nich uwolnię —

(*klęka i chwyta za nogę*).

ŻEGOTA (*cicho*).

Patrzę i mimo tego, com nawykł już widzieć, oczom moim nie wierzę — także nizko upadła ta kobiéta — tak się spodliła! To nie do pojęcia! Ten człowiek jest gbur rozpustny — Tylkom co go widział pijącego z chałastrą w szynkowni!

DOROTA

(*rzucając się na szyję Janka*).

Czegoś taki powarzony, tak smutny?

Żegota.

Przeczuwa śmierć swoję — Wybiła godzina!

Janko.

Mnie się spać chce — bom się spił.

Żegota.

Wytrzezwisz się na innym świecie.

Dorota.

Zasnij na mojém ręku!

Żegota (*głośno.*)

Dość, dość już téj sromoty! tego upodlenia Doroto! — Przyszedłem po życie drugiego twojego kochanka!

Dorota.

A! to on. —

Janko (*chce wstać*).

Kto to? co to? Czego? —

Żegota

(*rzuca się na niego i przebija*).

Tęczyński — po życie twoje —

DOROTA
(*wzdryga się i zasłania oczy*).

Znowu krew, znowu-trup!

ŻEGOTA.

Znowu, i ile razy wybierzesz kochanka, tyle razy ja przyjdę, aby ci go odebrać. — Tyś wdowa po Tęczyńskim. —

JANKO (*konając*).

O! ratujcie — ratujcie — umrę. —

ŻEGOTA.

Spojrz, to już druga śmierć, a może trzecia na sumieniu twojém — I ty się nie wzdrygasz! To twój kochanek, to twój luby!

DOROTA.

Kochanek! luby — O! jak wy mnie znacie Żegoto! jak wy mnie znacie! On kochanek!.... Moim kochankiem, jeden Nawój był tylko!

ŻEGOTA.

A ten? —

DOROTA.

A ten? To zemsta moja!

ŻEGOTA.

Nad kim?

DOROTA.

O ciasna stara głowo!—Zemsta moja nad tobą, nad wami, i nie ostatnia. Myślałeś może, że płakać, że ciężko rozpaczać po nim będę.—Coż on dla mnie? nienawistne narzędzie! nic więcéj—Tyś go zabił, jutro będzie drugi, jutro będzie dwóch, trzech, dziesięciu, bo Dorota chce, i musi zesromocić wasze imie!

ŻEGOTA (*cofając się*).

To szaleństwo!—

DOROTA.

O! to okropne szaleństwo.

(*klaszcze w dłonie*).

(*Wchodzi sługa.*)

Wynieść precz tego trupa, i zmyć krew z podłogi —

Żegota.

Ona nié ma serca.

Dorota.

Ma! ma! ale rozkrwawione, a na niém jedną więcéj, jedną mniéj kroplę krwi, to już nie ciężyǃ — Widzisz stary, próżnoś się obciążył morderstwem tylko.—Jutro—może dziś jeszcze mój kochanek zmartwychwstanie.—

(*słudzy wynoszą ciało Janka*).

Patrz! ani łezki na oku, ani żalu najmniejszego — Nic! nic! A twoje zabójstwo próżne, daremne.—Splamiłeś swoję szablę krwią podłego człeka, sumienie obciążyłeś — bez potrzeby, bez celu!

Żegota

(*stoi ostupiały, milczący*).

Teraz pojmuję — ale nie myśl, aby nie było rady na rozmyślny twój szał?

DOROTA.

Rady? gdybyś ją nawet znalazł, to będzie za poźno. Jam już prawie swego dopięła.

Scena szósta.

DOROTA, ŻEGOTA, PIOTR ZABOJ.

DOROTA.

O! dzięki wypadkowi, co mi go sprowadza tutaj. On zastąpi zmarłego! biédnego, zabitego Janka.

(*rzuca się przeciw Piotra*).

Wy tutaj! tutaj! Co was do mnie za szczęśliwy traf sprowadził?

PIOTR ZABÓJ.

Przychodzę, w mojéj i Jadwigi sprawie. —

DOROTA.

Wyście narzeczonym Jadwigi?

PIOTR.

I przychodzę was prosić —

Dorota (*przymilając się*).

Wybyście mieli żenić się z Jadwigą?

Piotr.

Tak, miłościwa Pani.

Dorota.

Wy tego nie uczynicie. —

Piotr.

Ja! dla czegoż?

Dorota.

Dla tego, — dla tego, że ja nie chcę, że ja sama was kocham, miłuję,— i żyć z wami pragnę —

Piotr.

Wy?

Dorota.

Tak, ja — Wyście mnie potrzebni, bardzo potrzebni — ja was miłuję oddawna— ja schnę myśląc o tobie —

Piotr

(*coraz bardziéj zdumiany*).

Pani — wy szydzicie ze mnie.

DOROTA

O! widzicie przecię, że wcale nie szydersko to mówię! To istna prawda, ja was kocham.

PIOTR.

Dla czegoż, dziś, tak nagle —

ŻEGOTA (*wychodzi*).

Nie chcę patrzać na tę sromotę —

DOROTA.

Dziś, bo dziś czas, bo dziś najgoręcéj uczułam, że was kocham —

PIOTR.

Ale ja....

DOROTA.

Ale wy nic nie czujecie dla mnie? Nic, nie prawdaż — Byćże to może? —

(*bierze go za rękę i w oczy mu patrzy*).

I powiadacie mi to tak zimno, tak obojętnie — Spojrzcie na mnie, nie jestemże od Jadwigi piękniejszą? Jadwiga, to biédne dziécię, bojaźliwe, drżące — jam niewiasta, w któréj piersi goreją płomienie — Ja

pojmuję miłość, ja potrafię wam dać szczęście — Spojrzcie, spójrzcie tylko na mnie— (*obejmuje go*).

Ja prócz miłości, dam wam bogactwo, znaczenie, dam wam wszystko, czego zapragniecie — Dam wam stosy złota, Zamki moje, włości moje, a w dodatku tylko — siebie—Mieliżbyście tém wszystkiém wzgardzić?

PIOTR (*zmięszany*).

Jeśli szydzicie, to szatańskie szyderstwo.

DOROTA.

Na Boga, nie! Chcę mieć w tobie kochanka!

PIOTR.

Byćżeby to mogło?

DOROTA.

Przysięgam, tak będzie—

PIOTR.

Ale wy macie, wyście mieli—

DOROTA.

Janko zabity—

PIOTR.

Kiedy?

DOROTA.

Przed chwilą — Ja go nie żałuję — ja cię kocham — O! powiédz mi że będziesz moim. —

PIOTR.

Nadludzkich sił potrzeba, aby się wam oprzeć —

DOROTA.

Więc się nie opiérasz więcéj?

(*zdejmuje pierścień z palca*).

Włóż go — to nasze zaślubiny —

(*całuje go*).

Tyś mój —

(*Piotr klęka przed nią*).

Prawda! przysiąż mi? przysiąż?

PIOTR.

O! Jadwigo!

DOROTA.

Ty jeszcze ją wspominasz?

PIOTR.

Ja ją zdradziłem.

DOROTA.

A jaż! Nie jaż wywołałam, wymodliłam zdradę?

PIOTR.

Biédna Jadwiga!

DOROTA.

Nie wspominaj mi o niéj — Tyś mój — Idź.... nie odchodź więcéj.... Chcę cię mieć przy sobie..... pojedziesz ze mną do miasta, na przechadzkę, pokażę cię całemu światu—

(*wiedzie go do okna*).

W obliczu tego tłumu, co na nas patrzy, ja cię obejmuję, ja kładnę pocałunek na twych ustach, ja cię związuję moim uściskiem na wieki z sobą—

(*na stronie*).

Ja go przecię nie kocham—

PIOTR (*przyklęka*).

Chciałaś tego — jam twój Doroto — jam na wieki twój! Nie wierzyłem długo twym słowom, nie śmiałem zaufać dziwnemu szczęściu— ale oprzeć mu się było nie po-

dobna, nad siły! Poświęcam Jadwigę, przyszłość, spokoj, wszystko — ale pomnij, że nie łatwo będzie zerwać z Piotrem. Śmierć chyba ten węzeł rozetnie.

Scena siódma.

Ciż sami, Piotr klęczy — Jadwiga *we drzwiach lewych.*

Jadwiga.

Co to jest! On prosi ją na klęczkach o rękę moję! Nie! on jéj patrzy w oczy, on ją ściska.... ona go całuje — To omamienie, to fałsz! To nie Piotr! To on! — Co on tu robi! On — z nią —

(*słucha*).

Nie — nie — to mi się przywidziało! On jéj przysięga —

(*wybiega przeciw nim*).

Potrzeba świadka przy takiéj przysiędze, otoż go macie!

Dorota.

To ona!

PIOTR.

Jadwiga!

JADWIGA.

Ona, ona! Jadwiga — na którą piorun upadł, i opalił ją — Co to jest i czy to żart tylko — żart tylko — Chcieliście mnie nastraszyć? nie prawdaż? Piotrze — to żart; Ty pani, chciałaś tylko przekonać się, czy Jadwiga go kocha. Nie prawdaż? mówcie,— O! na Boga, bo mi serce pęknie!

DOROTA (*w stronie*)

Biédna! I ją zabijam na ofiarę zemście.

(*głośno.*)

Słyszałaś — i powinnaś wierzyć uszom. Piotr nie twój — On mój kochanek od dziś.

JADWIGA.

Piotrze Zaboju—Co to jest! mów! mówże.

PIOTR.

Oddaję ci twój pierścień!

JADWIGA (*rzuca go na podłogę*).

Mój pierścień! Nie mój, ni czyj! Niech się nim upior z upiorem zaręczy!

Nie chcę go! on mi nie potrzebny, ja go drugi raz, drugiemu nie potrafię dać mężczyznie —

A! tyś nic nie winien Piotrze! nic! To ona — to ona! Jam się powinna była tego spodziéwać.

(*zakrywa oczy*, *płacze*).

To poczwara, serca nié ma, duszy nié ma, nie zna co przyjaźń, co miłość, co poczciwość, co litość. Słuchaj Doroto, słuchaj — co ci powiém wychodząc z tego domu, w którym oddawna noga moja postać nie była powinna — Tyś wszetecznica, tyś nie godna imienia kobiéty, — tyś potwora!

Gdybym miała siłę, zabiłabym cię, gdybym mogła, trupa twojego wyrzuciłabym na pożarcie psóm, bo szkoda ziemi garści, na przysypanie bezdusznych piersi twoich — Tyś potwora! Twój oddech truje, twoje dotknienie plami, twój uśmiéch zabija — gdzie się obrócisz, krew za tobą, mordy, zdrady! —

Bądź przeklęta na wieki, bądź przeklę-

ta, ty, z twymi, z domem twoim, ze wszystkiém co ci potrzebne do życia — Bodajeś kiedyś, jak ja, pozostała sama na świecie, sama, siérota, i potrzebowała kląć, jak ja cię klnę, i narzekać na to, że ci życie zostało, gdy ci kamieniem spadnie, to życie — Bodajbyś wszystko straciła i umrzéć nie mogła —

Idę — idę — sama w świat, ale otrzęsam pył z nóg moich, aby nic ze mną tutejszego z domu twego nie wyszło — Bądź przeklęta! przeklęta!

Scena osma.

DOROTA—PIOTR. *(długie milczenie).*

Dorota.

Słyszałeś przekleństwo — Chcesz? powróć do niéj — ja cię nie trzymam, ja nie chcę, abyś żałował.

Piotr.

Stało się — jam twój — Masz mnie, jakeś żądała, po woli swojéj — Łatwo, aż

nadto łatwo pozyskać mnie było, ale nie łatwo będzie porzucić.

Dorota.

O! ciężko mi na sercu, po tém przekłęstwie —

Piotr.

Biédna Jadwiga! Ty mi moje szczęście odebrane zapłacić musisz — nie prawdaż? —

Dorota (*na stronie*).

A ja go nie kocham! Ja go nie kocham.

Piotr.

Teraz jam twój i o wszystkiém zapomnę — zapomniałem — o przekleństwie, — o przywiązaniu dawném — Jam twój, ale na zawsze!

Dorota.

Dzięki ci — Bodajbym potrafiła nagrodzić stratę Jadwigi.

Piotr.

Już ja po niéj nie boleję — ja żyję na-

dzieją, karmię się przyszłością — O Doroto! — nie zawiedź mnie, nie zawiedź, bo powiedziałem ci z duszy i dotrzymam — Nie łatwo mnie porzucić!

(*Dorota podaje mu rękę — wychodzą w prawo*).

Scena dziewiąta.

ŻEGOTA. WOJSŁAW (*wchodzą z głębi*).

Żegota.

Potrzeba się naradzić, dosyć już téj sromoty — Ta kobiéta szalona. Jéj nic nie powstrzyma — Czekałem, patrzyłem, spodziéwałem się dosyć, sto razy pomykałem się do miecza, jak dzikie zwierze i litość bezrozumna wstrzymała mi rękę. Ale dość tego, myślmy, mówmy i róbmy — Oczekiwaniem doczekaliśmy tylko sromoty —

Wojsław.

Nie powiész bracie, żeśmy czekali z założonemi rękoma, ubiłeś Nawoja—Janka.

ŻEGOTA.

Nie wspominaj o tém — Niestety! próżne to były zabójstwa — dla niéj niczém widok śmierci, ona nié ma w sercu czucia — nie pokazała żalu nigdy?

WOJSŁAW.

Po Nawoju?

ŻEGOTA.

Rzuciła się w ręce Giermka, który się jéj piérwszy nawinął!

WOJSŁAW.

Słyszałem, to była złość, szaleństwo jakieś —

ŻEGOTA.

I to szaleństwo trwa — Ani nadziei aby się wytrzeźwić miała kiedy. Potrzeba radzić i działać. Nie dość jéj było na Przegini dokazywać, przybyła do Krakowa, aby ją wszyscy widzieli! Niepojęta! Inne kobiéty, rozpustnice, mają choć chwilę

wstydu, kryją się i tają ze złém, ta się chlubi —

Wojsław.

Nic innego, jak szaleństwo. —

Żegota.

A że na nie innéj rady nié ma.... —

Wojsław.

Jakaż jest?

Żegota.

Śmierć —

Wojsław.

Bracie, to srogo —

Żegota.

A imię nasze?

Wojsław.

Jedna kobiéta?

Żegota.

Jedna kobiéta, zgubiła cały ród ludz-

ki, jedna kobiéta, zgubi poczciwe imię Tęczyńskich —

WOJSŁAW.

Ale miałżebyś odwagę?

ŻEGOTA.

Tu chodzi o cześć naszą.

WOJSŁAW.

O życie ludzkie —

ŻEGOTA.

O życie! Což to życie, gdy chodzi o sławę i cześć? — mojeby potrzebném było, a dałbym go, jak dam cudze.—

WOJSŁAW.

Ale słaba kobiéta —

ŻEGOTA.

Nie mów że słaba — Szatan—kobiéta.

WOJSŁAW.

Zamknąćby ją — Ścisła niewola mogłaby ją poprawić —

Żegota.

Gdzie?

Wojsław.

W klasztorze.

Żegota (*głową potrząsa*).

Nie — Klasztoru dla niéj za mało, a żadenby ją nie przyjął. Do klasztoru idzie się z pokutą w sercu, nie ze złością, i myślą płochą — A potém z któregoż się klasztoru nie wykradnie?

Wojsław.

Sprobować —

Żegota.

Dosyć probowaliśmy — czas zapewne coś zrobić. Tu chodzi o imię nasze — o cześć naszą, potrzebaż ci to przypominać?

Wojsław.

Znasz mnie?

Żegota.

Od czterdziestu lat.

WOJSŁAW.

Skąpiłem kiedy ofiary z siebie?

ŻEGOTA.

Nigdy bracie —

WOJSŁAW.

Ale ofiary z drugich, dwa razy patrzę, nim się odważę uczynić!

ŻEGOTA.

Z siebie, czy z kogo, gdy o nasz ród chodzi, o niepokalane imię, które się wala z tą nierządnicą w błocie uliczném, po szynkowniach —

WOJSŁAW.

Nie powtarzaj! Rób co chcesz!

ŻEGOTA.

Zabiję ją —

WOJSŁAW.

Miarkuj jeszcze chwilę, tylko chwilę!

Żegota.

Ty zawsze upierasz się ją zamknąć.

Wojsław.

Pomyśl, pomyśl sam —

Żegota.

Zapewne — Ale nie w Klasztorze —

Wojsław.

Jużciż nie na Zamku naszym; na żadnym z naszych Zamków, łatwoby ludzie powiedzieli, żeśmy to uczynili, aby jéj majętności zagarnąć, nam potrzeba strzedz się cienia —

Żegota.

Masz słuszność — Myśl mi przyszła — Znasz starą Masława wieżycę, nad gościńcem krakowskim?

Wojsław.

Sto razy przejeżdżałem pod nię,

ŻEGOTA.

Tam ją osadzę na publiczną pokutę, jak była publiczną wina! Niech ludzie widzą i znają, jak Tęczyńscy karzą siebie, gdy się niegodnymi przodków widzą —

WOJSŁAW.

Potrzeba ci kary i zamknienia — lepszéj pomyślić nie było można — zgoda! Każ przygotować wieżę Masława i wyznacz jéj sługi — Tym czasem opanować kobiétę i porwać z miasta, z pośród jéj dworu — i to nie łatwo.

ŻEGOTA.

O to się nie troszcz — Starzy słudzy ze zgrozą, z płaczem, dawno ją upuścili, nowi, to płatni i podli najemnicy, co się do szabli za pana nie porwą, bo im wszelaki pan równy, byleby płacił — Ktož jéj będzie bronił?

WOJSŁAW.

Nie wiém, ty to znasz lepiéj, ale mogęli,

ci być pomocnym do czego, ja i moi, rozkaż tylko.

ŻEGOTA.

Idź i każ się im gotować. Ja cię tu czekam.

WOJSŁAW.

Zaraz.

ŻEGOTA.

Im prędzéj, tém lepiéj! mnie sen i spokój odeszły, odkąd ta kobiéta nas bezcześci! Ja mrę i konam patrząc na nią, słysząc o niéj. Co nocy stają u mego łoża dziadowie nasi i groźnie patrząc na mnie, zdają się wymawiać, jak mogę dopuścić sromoty, cierpieć ją i milczeć! O! dłużéj nie wytrzymam już, czekam tutaj — Nie wygna mię ta kobiéta, czekam sam — zbierz swoich i moich ludzi, a przybywaj rychło.

(Wojsław wychodzi).

Scena dziesiąta.

Żegota w krześle — Dorota wchodzi z Piotrem powoli, zadumana, i nie zważając na Żegotę, odpycha zlekka Zaboja — nazad.

PIOTR.

Każesz mi odejść?

DOROTA.

Na chwilę, na chwilę tylko zostaw mnie samą —

PIOTR.

Jam we wszystkiém, tylko najposłuszniejszy ze sług twoich —

(odchodzi).

Scena jedenasta.

DOROTA *sądząc się samą.* ŻEGOTA.

O! piecze mnie w głowie i sercu — Stoi mi przed oczyma, ta biédna, nieszczęśliwa Jadwiga — Wybiegła ztąd jak szalona! Gdzie się podzieje sierota — Ona gotowa—

Wieleż mnie już ta zemsta kosztuje — I ten człowiek, ten człowiek, co zamienił miłość prawdziwą, pełną przyszłości, na kłamane przywiązania bez jutra — Drżę spojrzawszy na siebie — tyle, tyle plam we mnie, na mnie —

(*żywo*)

Ale one wszystkie spadają na ród, na nienawistny mi ród, na imię Tęczyńskich, na czysty Topór, który od nich zardzawieje —

Żegota. (*podnosząc się*).

Ani kropli —

Dorota.

Wy tu! Jeszcze! Znowu — Wy u mnie! W moim domu. Smiecie! — Czego — po coście tu przyszli?

Żegota. (*siadając spokojnie*).

Czekam —

Dorota.

Na co! na kogo! Czekacie, aby ludzie

moi przyszli i wygnali was, jak zbójcę, jak gwałtownika —

Żegota. (*zawsze spokojnie*).

Czekam, ale na moich sług, nie na waszych —

Dorota.

Idźcie na nich czekać w ulicy, jeśli są wam potrzebni —

Żegota.

Poczekam tutaj, na nich!

Dorota.

U mnie? U mnie, przeciwko woli mojéj! Wy mnie nie znacie jeszcze, panie Stryju!

Żegota.

O! daliście się mi poznać!

Dorota.

Idźcie ztąd, póki czas wyjść bez hańby od chałastry — Zwołam na was —

ŻEGOTA.

Choćby cały dwór wasz — Dość mi nań będzie, jednéj mojéj ręki staréj i staréj szabli —

DOROTA.

To nowe urągowisko, to zuchwalstwo — *(bieży ku drzwiom)*

ŻEGOTA.

Stój, ani się rusz kobiéto, chceszli być cała i rąk moich uniknąć —

DOROTA. *(wołając)*

Ratujcie! ratuj kto żyw.

Scena dwunasta.

(Ciż — Piotr wbiega na krzyk z puginałem podniesionym).

PIOTR.

Co to jest? A! to wy Panie! —

ŻEGOTA.

Widzicie, to ja —

PIOTR.

Po co gwałt czynicie we własnym domu niewieście?

ŻEGOTA.

Gwałt! ja?

DOROTA.

Gwałt! gwałt, bo wszedł tu w mój dom samowolnie, i wyjść nie chciał, gdym mu kazała precz odejść — i grozić mi począł, a mnie saméj uciekać nie dał. —

PIOTR.

Co to znaczy, tłumaczcie mi się?

ŻEGOTA.

Tłumaczcie mi się wprzód, co wy tu znaczycie?

PIOTR.

Ja —?

Dorota.

Mój pan — mój kochanek —

Żegota.

Od dwóch godzin?

Dorota

Od godziny —

Piotr.

Od godziny, ale na wieki!

Żegota

Do śmierci! kto wie, może to być nie na długo —

Piotr.

Idźcie ztąd, jeśli chcecie abym dłużéj szanował waszą siwą głowę —

Żegota.

Rada za radę — idźcie wy ztąd, jeśli cenicie młode wasze życie.

PIOTR.

Jakiém prawem rozkazujecie tu?

ŻEGOTA.

Stokroć lepszém od waszego — Stryj jestem téj kobiéty i opiekun.—

PIOTR.

Ona wdowa i wolna —

ZEGOTA.

Kiedy kobiéta wolna, powiédz mi?

DOROTA.

Wypędź go! wypędź, nie poczynaj walki na słowa, ona tylko mój gniéw powiększa —

PIOTR.

Jeszcze raz, idźcie, lub....

ŻEGOTA.

Idźcie wy — lub — bij się —

PIOTR.

Dobrze — Chcesz, wyzywasz na rękę — dobywam miecza — a rzadko go chowam nie zbroczywszy krwią —

ŻEGOTA.

I mój się już obmył plugawą posoką dwóch takich, jak ty młokosów —

(poczynają się bić — Dorota oczy zakrywa i bieży ku drzwiom. We drzwiach spotyka się z Wojsławem, który za sobą wiedzie ludzi — W chwili gdy wchodzi, Piotr, który począł się usuwać, pada raniony wołając —

PIOTR.

Na Boga! dość — Smiertelnie raniłeś mnie — Doroto! Doroto! Do mnie — na Boga — przez litość — Niech cię zobaczę jeszcze — O!!

DOROTA.

On go zabił!

(pada na ziemię bezsilna).

Koniec Aktu IV-go.

A K T V.

Scena piérwsza.

Teatr wystawia gościniec, idący pod wieżę zwaną Masława (poźniéj Dorotką)— W oddaleniu widać lasy i góry piasczyste — Nad sceną z prawéj strony wznosi się wieża, w któréj drzwi od dołu, a dwa okna wązkie we dwóch piętrach wyższych. Do koła pusta okolica — na lewo nieco daléj mogiła, na mogile krzyż stary.

Piotr.

(*siedzi pod wieżą — Ubior ubogi, odarty, twarz blada, wychudła, na plecach sakwy żebracze*).

A! To tu — przecięż spocznę — Droga mnie zmęczyła, coraz to mi się rana otwiéra i krew tracę, a potrzeba mi jéj, potrzeba życia, aby wyswobodzić Dorotę! W czasy szczęśliwsze, ona mnie wybrała, podniosła, ona mnie jedną chwilę kochała — Przypłaciłem pół-śmiercią, długiém cierpieniem, nędzą — moje drobne, krótkie szczęście, teraz czas na wdzięczność! Wlokłem się tak powoli! Ledwiem oczy po chorobie otworzył, chciałem tu być jednym skokiem! a tu o kiju zwolna i z otwiérającą się co nocy raną, dowlokłem się, dopiéro teraz!

Co ona wycierpiała! co cierpieć musi! Opłakała śmierć moją — i pewnie nie wié, że mi uparte życie, zostało jeszcze w piersi, na jéj obronę, na jéj posługi.

(*podnosi głowę*).

Pół dnia tu siedzę, a jeszczem jéj nie widział, cóż to mówili mi ludzie, po dro-

dze, że Tęczyńska, śmieje się i śpiewa pieśni, cały dzień z okna swéj wieżycy? Musi to być fałsz! albo — może szalona! tyle cierpiała — Kto wie — może chora — może — może za poźno przybyłem na pomoc — i pomogę tylko — do pogrzebu. —

Scena druga.

PIOTR. DOROTA, (*w oknie spogląda*).

DOROTA.

Dzięki Bogu, pusto — nikogo, odpocznę —

(*patrzy*)

Jakiś żebrak pod wieżą —

(*głośno*).

Bóg z tobą człowiecze!

PIOTR.

Bóg z wami — pani.

(*na stronie*).

Jak zmieniona!

D o r o t a.

Przyszliście tu pewnie spocząć! Bardzom wam rada — A wiecie kto jestem?

P i o t r.

Trudno was poznać!

D o r o t a.

Jestem Dorota z Tęczyna, żona Ottona Toporczyka z Rabsztyna— sławna nierządnica, słyszycie? — Dokazywałam wesoło żyjąc na świecie, aż mnie niegodni Stryjowie do téj wieży zamknęli! Ale napróżno! Ja i tu mam kochanków!

P i o t r.

Biédna! rozum straciła!

D o r o t a.

O! i tu do mnie przychodzą, pod wieżę, na wieżę — Wiérz mi, tak — tak — wierz, i powiédz przed ludźmi, gdzie pójdziesz, daleko, żeś widział Dorotę z Tęczyna, sławną nierządnicę — a chcesz pie-

śni, to ci wesołą pieśń za jałmużnę zanucę, bo grosza nié mam, aby ci rzucić, wzięli mi wszystko i włości i skarby i moich kochanków i swobodę moję — A zostawili mi tylko sromotę — dzięki i za to —

PIOTR.

Biédna, ona nie poznała mnie!

DOROTA.

Co mówisz poczciwy człecze?

PIOTR.

Nie poznałaś mnie!

DOROTA.

Znaliśmy się kiedy?

PIOTR.

Prawda, jam bardzo zmieniony — tyle krwi i tyle życia straciłem —

(*zdejmuje chusty i odgarnia włosy*).

A teraz? —

Dorota.

A! żywy czy umarły! to biédny Piotr

Piotr.

Przecięż dzięki ci, poznałaś mnie! O! dzięki ci, za to szczęście, tak! Piotr co przeżył ranę śmiertelną, aby przyjść tu, przywlec się, tracąc krew po drodze, i służyć ci, uwolnić ciebie!

Dorota.

O! mój Boże, on mnie kochał!

Piotr.

Tak — Kochał i kocha! przyszedł, aby cię uwolnić!

Dorota.

Po co? mnie tu dobrze!

Piotr.

Nie chcesz swobody? Uciekniem, pójdziem daleko, skryjem się od nich — i — będziem szczęśliwi —

DOROTA.

Biédny Piotr! on jeszcze marzy o szczęściu — O! nie, zapoźno! zapoźno — Dość tego utrapionego życia. Jeśli mi go żal kiedy, i jego i straconych dostatków, i młodości, to, żem ciebie nie mogła nagrodzić— Czemuż nie mogłam ani sercem za serce, ani nawet złotem zapłacić za poświęcenie!

PIOTR.

Złotem! Biédna kobiéta widocznie rozum straciła —

DOROTA.

Prawda—szczęście dawno — rozum dawno, a najdawniéj nadzieję — Wszystko, wszystko —

PIOTR.

Ale jam cię przyszedł uwolnić!

DOROTA.

Na cóż mi wolność?

PIOTR.

Na co! Dla mnie — dla mnie! I na zemstę —

Dorota.

A! na zemstę! tak, potrzeba, abyś mnie uwolnił, potrzeba! uwolń mnie — uwolń dziś — prędzéj — zaraz —

Piotr.

Kto cię strzeże?

Dorota.

Nikt— Ale od spodu zwalono wschody wiodące do nagiéj, do pustéj komnaty mojéj — Raz w dzień tylko wieśniak ze wsi poblizkiéj, podaje mi jedzenie na wysokiéj żerdzi — Drzwi moje zamurowano, okno zakracono, nawet wyskoczyć i zabić się nie można. —

Piotr.

Ale można je wyłamać—kraty wypiłować, po sznurze się spuścić!

Dorota.

Kraty wypiłować! O! rwałam z początku mur zakrwawionemi rękoma, zębami szar-

pałam kraty z sił wszystkich, biłam głową—
—i nic nie pomogło!

P i o t r.

My wyrwiem kraty!

D o r o t a.

Ale jak się tu dostaniesz!

P i o t r.

Jak? Zobaczysz, mało mam sił, ale mi ich doda miłość—

D o r o t a.

On mnie kochał! O! jak mi żal biédnéj Jadwigi, jam jéj odebrała wielkie szczęście.—

P i o t r.

Tyś wspomniała Jadwigę — Cicho! na co umarłych wspominać— Wieczny im spoczynek.

D o r o t a.

Więc umarła!

P i o t r.

Szukałem jéj, pytałem o nią—aby jéj

mój zagon i trochę grosza oddać, co mi się na nic nie przydały — ale się o niéj dowiedzieć nie mogłem — Biédna, pewnie umarła!

Dorota.

Ty mnie uwolnisz! uwolnisz! Ha! i pójdziem w świat na złość Panom Stryjom moim, — pójdziem i siądziem oboje, ot tak w łachmanach, odarci, na rynku krakowskim, przed Kościołem Panny Marji, a ja wołać będę do przechodzących — Dajcie grosz, Dorocie z Tęczyna! O! uwolń, uwolń, jeszcze mi tego brakło, potrzeba mi tego — Piotrze! — Jam twoja — ratuj! —

Piotr (*podnosi się*).

Myślałem że już wyczerpałem siły wszystkie, ale jeszcze je mam! Idę — i wracam rychło!

Scena trzecia.

Dorota (*sama*).

Znowu odmiana! znowu nadzieja, i nowe wrota otwiérają się zemście — nowe ży-

cie mi świta! Ktoby się spodziewał był tych zmian, zmartwychwstania Piotra.— swobody — i — ach! nowéj zemsty— Tak— on mnie oswobodzi, uwolni, pójdziemy z nim razem żebrać! Żebrać! A gdy przejdziem wszystkie miasta naszéj ziemi, gdy po wszystkich jéj zakątkach imię z niesławą i nędzą rozniosę, na ostatku, na samym ostatku, zastukamy do wrót stryjowskich! Daj im Boże życie, aby tego doczekali — Wybierzem dzień uroczysty, kiedy pełno będzie świadków, pełno ludzi, i zawołamy w głos — Dajcie grosz Dorocie z Tęczyna, dajcie grosz staréj nierządnicy! Naówczas Żegota powstanie i zabije mnie — To będzie piękny koniec—Moja krew jeszcze im raz dumne czoła obryzga.

Scena czwarta.

Od mogiły ukazuje się idąca Jadwiga— Suknie jéj podarte w łachmany, podpiéra się na kiju, głowa spuszczona — blada.

Dorota.

Jakaś żebraczka — dziś dzień na żebra-

ków — biédna, jakaś uboga — biédna — o! szczęśliwsza jeszcze odemnie! Ona ma swobodę, ona ją miała całe życie — ja nigdy.

Jadwiga (*zbliża się*).

Mówili mi, że to tu gdzieś blizko — To tu gdzieś — A! w téj wieży! Chwała Bogu, żem doszła napaść wypłakane oczy nieszczęściem Doroty — Tu zostanę! tu u podnoża téj wieży — Siądę i nic mnie ztąd nie odpędzi — Wyjrzy rano i zobaczy żywy swój występek — wyjrzy wieczorem i znowu widzieć mnie będzie — Nie ustąpię — Niech cierpi — i jam wiele cierpiała! O! więcéj niż ona! Teraz pocznę życie zwycięztwa — będę się mścić nieubłaganie, nielitościwie —

Ona mnie nie poznała.

(*do Doroty*).

Witaj Doroto z Tęczyna.

Dorota.

Ty mnie znasz? To głos jakiś pół-znajomy, kto ty jesteś? kto?

JADWIGA.

Ja cię znam, ty mnie nie! Tak być powinno! Witaj Pani Doroto, witaj! O! o! jakże cię wysoko Stryjowie podnieśli, jakżeś wielką panią! Na jakimże ślicznym panujesz Zamku! Na wieżycy, której dach okrywa liczna straż, — wron i kruków! O! o! witaj Królowo! witaj!

DOROTA.

Co to za głos! ona szydzi!

JADWIGA.

Jak ci tam być musi wesoło! jak wesoło! To to życie? nie prawdaż! Ale tego mało dla ciebie, tego mało! O! gdyby mnie byli spytali, mnie się poradzili, jabym im była wymyśliła inną karę, lepszą, bo sroższą — Doroto, Doroto — ty jeszcze nie poznałaś mnie, jeszcze, nawet po przeklęstwie, które ci posyłam, abyś konała i umrzeć nie mogła!

DOROTA.

To Jadwiga! A! to biédna Jadwiga!

JADWIGA.

Biédna Jadwiga! Jak ci do twarzy z litością, tobie, coś nie znała litości, coś nie pojmowała żadnego przywiązania — Dzika wilczyco! — A! nareszcie złapałam cię! złapałam — Wiész ty po co tu przyszłam — wiész?

DOROTA.

Urągać nieszczęściu!

JADWIGA.

Urągać — to mało — pastwić się nad tobą!

DOROTA.

Nie długo. —

JADWIGA.

Póki życia tobie, póki mnie go stanie. Przyszłam tu umyślnie — siąść pod twoją wieżą, i nie ustąpić krokiem, ile razy wyjrzysz przeklinać ciebie, ile razy spocząć zechcesz, nie dać spoczynku — ilekroć zapłaczesz — wyszydzić łzy twoje —

Dorota.

Srogo się mścisz —

Jadwiga.

O! mało! Gdybym mogła tam być z tobą razem — Gdybym wymodlić mogła, aby mnie tam z tobą zamknęli —

Dorota.

Dziękuję ci — Sądząc, że mnie udręczasz, przyszłaś mi służyć tylko —

Jadwiga.

Ja? tobie?

Dorota.

Tak — Im czarniejsze rzeczy przeciwko mnie wołać będziesz, im srożéj błotem mi rzucać w oczy, tém mi więcéj usłużysz! Ja chcę, aby wszyscy wiedzieli, czém była Dorota.

Jadwiga.

Dobrze! będą wiedzieli —

(siada pod wieżą, rzuca sakwy i obchodzi ją powolnie do koła).

DOROTA.

Dzień dziwnych wypadków! Dwie twarze z drugiego świata, blade, smutne, żebracze twarze! Co powie Piotr, gdy ją tu zobaczy? Czy się poznają?— O! co za straszne życie! —

Słyszę tentent, ktoś się zbliża — potrzeba odegrywać dalej smutną moję rolę— potrzeba wołać, potrzeba wabić, potrzeba się bezcześcić.

Scena piąta.

(*Dorota. Gościńcem przejeżdżają dwaj rycerze powoli*).

DOROTA

Dobrego dnia — podróżnym!

1-SZY PODRÓŻNY.

Kto tam woła?

DOROTA.

Dorota Tęczyńska, Dorota z Tęczyna,

żona Ottona z Rabsztyna — życzy wam wesołéj drogi! Gdyby ją stryjowie nie zamknęli w téj wieży, pojechałaby z wami, poszłaby za wami, młodzi rycerze, i pokochałaby z was którego, jak kochała, póki była wolną!

2-gi PODRÓŻNY.

Słyszysz, bracie?

1-szy PODRÓŻNY.

Słyszę, to jakaś szalona, zamknięta w téj wieży —

DOROTA.

O! nie myślcie że szalona! przytomna, zdrowa, a dawniéj wesoła niewiasta. Miałam wielu, wielu kochanków, wiele, wiele chwil wesołych — i nażyłam się — Chcecie piosenki — zanucę wam piosenkę na drogę —

1-szy PODRÓŻNY.

Nie mamy czasu słuchać — pilno nam do Krakowa. —

DOROTA.

Jedźcież z Bogiem, a po drodze i w mieście, powiedźcie wszystkim, kogo widzieć będziecie, żeście przejeżdżali pod wieżą Doroty, żeście słyszeli jak śpiewała o kochanku, i że kochanek jéj dziś do niéj powrócił —

(*podróżni przejeżdżają*).

Szczęśliwéj podróży, wesołego noclegu, wesołéj kochanki wam życzę — Bądźcie zdrowi młodzi rycerze, bądźcie zdrowi!

Scena szósta.

(*Dorota — Piotr wchodzi szybko wlokąc sznur za sobą, niosąc siekierę*).

DOROTA.

Z powrotem?

PIOTR.

Już — i wszystko gotowo — siadam do pracy, powiążę węzły na tym sznurze, za-

rzucę go w okno twoje — potém zobaczycie — Ja was muszę oswobodzić —

(*Siada na ziemi i wiąże węzły i drabinę ze sznura*).

DOROTA.

Bóg ci zapłać. —

PIOTR.

Ty mi zapłacisz, gdy wolną będziesz.

DOROTA.

Nié mam ci czém zapłacić!

PIOTR.

Sercem, szczęściem.

DOROTA.

Nie wierz w oboje.

Scena siódma.

Ciż — JADWIGA, *powraca na ostatnie słowa, i staje na przeciw* Piotra, *Dorota niknie z okna.*

JADWIGA.

Co to jest! Kto to taki? Ha! w oczach mi się ćmi! To twarz znajoma — Nie — to nie on — to nie on — to on — — A! to Piotr.

PIOTR

(*podnosząc głowę wpatruje się w Jadwigę*)

Ktoż ty i po co tutaj?

JADWIGA.

Nawet mnie nie poznał!

JADWIGA.

A ty? Ktoś ty i po co?

PIOTR.

Sni mi się, żem ją gdzieś widział, jakby w przeszłem życiu. —

JADWIGA.

Prawda, w przeszłém życiu —

PIOTR.

Podobna do kogoś.

JADWIGA.

Do kogoś zabitego przez ciebie.

PIOTR.

Zkąd jesteś żebraczko?

JADWIGA.

Z daleka! z drugiego świata! ze świata umarłych....

PIOTR.

Powiedz nam co o znajomych.—

JADWIGA.

Wszyscy was przeklęli....

PIOTR (*porywa się*).

Na Boga! to głos Jadwigi! miałażby to być ona! ona!

JADWIGA.

A! przecież poznał mnie! Poznałeś Piotrze — Tak! jam Jadwiga — Spojrzyj na

mnie, na twarz moję, na te łachmany, i powtórz sumieniu swemu, jeśli ty możesz mieć sumienie — To Jadwiga.

PIOTR (*zakrywa oczy*).

Z tamtego świata przyszła, aby mnie dręczyć —

JADWIGA.

Nie! nie! aby ci przebaczyć — Piotrze! Jam cię nie przeklinała nigdy sercem, choć nie raz klęłam usty — jam ci dawno przebaczyła, ale nie darowałam, ale nie daruję....

PIOTR.

Komu? jéj?

JADWIGA.

Ty wiesz komu — Tak — jéj, co mi cię odebrała bez przywiązania zimno biorąc moje życie, mój skarb, całą moję przyszłość, za narzędzie bezrozumnéj zemsty! O! czyż mało miała ludzi dokoła, aby siostrze, przyjaciółce — wydrzeć serce z piersi! I jabym jéj miała przebaczyć! Jabym jéj miała przebaczyć, gdy aż do dziś dnia, co-

raz więcéj cenię, com utraciła. Cożbyś ty zrobił za szczęście, za cały żywot spokoju i miłości, gdy tyle czynisz za chwilę nadziei?

Piotr (*wiążąc sznury*).

Jadwigo — na Boga idź ztąd — idź ztąd.

Jadwiga.

O! nie odpędzisz mnie od wieży — jam po to przyszła, aby ją codzień budzić i usypiać piosenką jedną — przeklęstwy. —

Piotr.

Po toś przyszła?

Jadwiga.

Po to, i zostanę tu, póki albo ja, albo ona umrze....

Piotr.

A ja przyszedłem po to, aby jéj osłodzić życie utrapione — aby ją uwolnić — Widzisz, że tu razem pozostać nie możemy?

JADWIGA.

Więc jedno z nas ustąpi.

PIOTR.

Ty —

JADWIGA.

Albo ty — Piotrze, dałeś jéj raz życie swoje — dość tego.

PIOTR.

Ostatki jego, nie wiele warte, niech do niéj także należą —

JADWIGA.

Chcesz ją uwolnić?

PIOTR.

Uwolnię ją....

JADWIGA.

A potém?

PIOTR.

Uciekniemy.

JADWIGA.

Dobrze żeś mi to powiedział!

PIOTR.

Pójdziesz sobie ?—

JADWIGA (*biorąc kij i sakwy*).

Pójdę — bądź zdrów —

(*podnosi głowę*).

Do zobaczenia... Doroto!

Scena osma.

PIOTR *sam i poźniéj* DOROTA.

PIOTR.

Poszła! dzięki Bogu, przytomność jéj była mi srogim wyrzutem! Co się z nią stało niebogą! Jak zestarzała tak prędko, jak zniszczała! Żebrze sierota! Dobrze, że jéj Dorota nie postrzegła — dobrze że poszła — pracujmy!

DOROTA.

Jam ją widziała Piotrze.

PIOTR.

Kogo?

DOROTA.

Jadwigę.

PIOTR.

Już poszła i nie wróci.

DOROTA.

A wiecie dokąd poszła?

PIOTR.

W świat! nieboga!

DOROTA.

Wy jéj nie znacie! wy nie domyślacie się niczego. Ona poszła oznajmić Stryjom, że mnie chcą uwolnić.

PIOTR.

Ha! byćże to może?

DOROTA.

Pewnie— uciekaj więc wcześnie i ukryj te przygotowania — Pochwycą cię, a z tobą moją ostatnią nadzieję!

PIOTR.

Ja ją dogonię — i — zmuszę do powrotu —

DOROTA.

Daremnie! Ludzie tu ciągle krążą —

często dojeżdżają i prześladowcy sami, aby mi urągać — Może już znać dała — Temi krzaki sto krętych drożynek prowadzi — skryj się sam — to będzie najlepiéj —

Piotr.

Dokąd?

Dorota.

Nie opodal — w zarośla przynajmniéj — W nocy przybędziesz, jeśli stróżów nie postawią —

Piotr.

Stróżów! Jeśli jednego, dwóch nawet, to im podołam —

Dorota.

Ona nie darmo poszła!

Piotr. *(zbiera sznury i uchodzi powoli).*

Będę blizko, gdy zapotrzebujesz mnie, zawołaj po imieniu, usłyszę, choćbym był najdaléj — twój głos —

Dorota.

Dzięki ci — uchodź, słyszę tentent na drodze — uchodź!

Scena dziewiąta.

JADWIGA, *wiedzie* ŻEGOTĘ, *który przybiega konno.*

Jadwiga.

Tak! Tak miłościwy panie — Piotr Zabój, któregoście swoją ręką zabili — on, on sam — Jest pod wieżą i chce Dorotę uwolnić —

Żegota.

Chyba zmartwychwstał!

Jadwiga.

Wyleczył się i przywlókł.

Żegota

Gdzie on?

Jadwiga.

Ot tu — tu — Coż to? Już go nié ma? może już uciekli!

(*rzuca się ku wieży*).

Nie! nie! Kraty w oknie całe! Musi gdzieś być nie daleko —

Żegota.

Przyszlę ludzi, aby przetrzęśli okolicę — a wam, oto (rzuca pieniądz) nagroda za wieść!

Jadwiga.

Nagroda! O! panie, ja nie takiéj żądam — mnie nagroda, moja zemsta nad Dorotą!

Żegota.

Ktoś ty?

Jadwiga.

Widzicie — biédna, uboga dziewczyna — dawniéj szczęśliwsza, teraz bardzo biédna —

Żegota.

Co ci zrobiła Dorota?

JADWIGA.

Wydarła mi serce z piersi, odebrała mi narzeczonego, w chwili prawie, gdyśmy do Ołtarza iść mieli—

ŻEGOTA.

Jadwiga!

JADWIGA.

Ona, ona sama! nie powtarzajcie tego imienia, ono mi nadto przypomina lepsze czasy—

ŻEGOTA.

W takiéj nędzy!

JADWIGA.

W takiém cierpieniu!

ŻEGOTA.

Opuścili cię więc wszyscy?

JADWIGA.

Ja—wszystkich—Teraz tu moje miej-

sce — u téj wieży — Będę stróżem waszym panie, stróżem Waszéj Miłości, pewnie najwierniejszym!

(*usiada na ziemi pod wieżą*).

Żegota odjeżdża powolnie — ukazują się podróżni w kilku koni jadący — Dorota w oknie.

DOROTA.

Bóg prowadź szczęśliwie — podróżni —! (*Ci zatrzymują się i oglądają*). Widzieliście Dorotę z Tęczyna? Znacie Dorotę, wesołą niewiastę niegdyś, którą panowie Stryjowie zamknęli w téj wieży —? powiedzcie gdzie pojedziecie, żeście ją widzieli, że zawsze wesoła i że niedługo przybędzie do Krakowa żyć wesoło z chłopcami, jak żyła — Dobréj drogi podróżni —

(*szepcąc przejeżdżają*).

ŻEGOTA.

Znalazła i tu sposób roznoszenia swojéj i naszéj sromoty! straszna niewiasta, cóż, gdyby tak silną była w cnocie, jak u-

parta w występku i zemście! — Trzeba jednak koniec temu położyć!

(*odjeżdża — Piotr który czatował, ukazuje się*). —

Scena dziesiąta.

JADWIGA — DOROTA — PIOTR.

PIOTR.

Pojechał! Ale ona tutaj — Od niéj się łatwo uwolnię —

(*przystępuje bliżéj*).

Mówiłem ci, po co tu przyszedłem?

JADWIGA.

I ja —

PIOTR

Jedno z nas drugiemu ustąpić musi. —

JADWIGA.

Ty, panom Tęczyńskim —

PIOTR.

Nie — ty przedemną —

(*chwyta ją w pół, wnosi do wieży*

19*

przeze drzwi i zatrzaskuje drzwi — słychać krzyk, który powoli ustaje).

A teraz do roboty —

(*wlecze sznur z krzaków*).

Doroto?

DOROTA.

To ty Piotrze!

PIOTR.

Ja — Zamknąłem Jadwigę w dolnéj izbie wieży — Zmierzcha, czas począć myślić o sobie!

DOROTA.

Coż chcesz począć?

PIOTR.

Zarzucę sznur w okno — ty go przymocuj, ja się wedrę do kraty i rozłamię ją — Spuścim się po sznurze —

DOROTA.

To niepodobna.

PIOTR.

Wszystko podobna, kto ma żelazną wolę i wielką miłość.

(*zgarnia sznur — w oddaleniu ukazuje się Żegota z kilku ludźmi*).

Nie wiém tylko, czy nie potrzeba dotoczyć jeszcze sznura.

DOROTA.

Rzucaj go! A! stój — Znowu jeden z nich.

PIOTR.

Kto?

DOROTA.

Żegota, ten szatan prześladowca — uciekaj — zawołam cię, gdy czas będzie.

(*Piotr znika — Dorota uchyla się z okna — Żegota podjeżdża bliżéj sam*).

Scena jedenasta.

ŻEGOTA.

Raz potrzeba skończyć. Ten człowiek

gotów ją uwolnić. Osadzim ją więc w innem miejscu.

(*do ludzi*).

Idźcie, przystawcie drabiny — rozbijcie zamurowane drzwi i wyprowadźcie ją ztąd.

(*Ludzie wchodzą do wieży, z któréj wybiega za odemknieniem drzwi Jadwiga.*

JADWIGA.

Zamknęli mnie — on ją chce uwolnić — on ją uwolni! Każ go szukać!

ŻEGOTA.

Każę ją ztąd wywieść.

DOROTA.

Mnie, wywieść ztąd! Aby srożéj zapewne zamknąć, aby się straszniéj jeszcze pastwić nade mną! O nie! nie!

(*chwyta kraty i z wysileniem wyrywa je z muru*).

Dzięki Bogu! Osłabły od ciągłego targa-

nia — i miałam jeszcze siłę, na złamanie ich —

(wychyla się przez okno).

Nie! nie będziecie mnie mieli, kaci! Nie będziecie mnie mieli — chyba trupem.

(rzuca się z okna, pada i zabija).

ŻEGOTA.

Dzięki Bogu! Nie żyje.

Scena dwunasta.

CIŻ — PIOTR *rzuca się na Żegotę.*

PIOTR.

Ale ja żyję jeszcze — ja żyję!

ŻEGOTA.

Do mnie, do mnie moi!

PIOTR.

(który z konia ściągnął Żegotę i dusi go na ziemi).

Po czasie przyjdziecie! po czasie! albo w sam czas na pogrzebanie trupów.

(tarzają się z krzykiem po ziemi. Jadwiga lata bezprzytomna po scenie).

ŻEGOTA.

Człecze, puść mnie!

PIOTR.

Daj mi życie swoje, za życie Doroty! O tak! tak — Konaj obmierzły starcze!

(gdy Żegota kona, Piotr pozostaje przy nim bez sił).

Skonał— ale i mnie opuszczają siły. Rany mi się otwarły! Tém lepiéj, prędzéj skończę!

JADWIGA.

Wszędzie krew! krew, śmierć! a! gdzie uciec? gdzie uciec!

(staje).

Nie! nie! to nie krew! to nie krew. Mój Piotr leży i spoczywa — a jak się obudzi, dam mu znowu obrączkę i pójdziemy do ślubu.

PIOTR (*konając*).

Doroto!

JADWIGA.

Kto wyrzekł to imię! Drogie imię pani mojéj! Ona mi uplotła wieniec ślubny, ona mnie powiedzie do Ołtarza! Pani moja! Piotrze! Piotrze! obudź się, obudź — Już ksiądz poszedł do kościoła, już świéce zapalili, już wszystko gotowo. Jam ubrana, mam wieniec mój na głowie, pierścień twój na ręku! Chodźmy! chodźmy! chodźmy!

(*wybiega daleko w pole*).
Zasłona spada.

Koniec Dramatu.

31 *Sierpnia* 1843.
W Stepie pod Ananiewem.